CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 28 Marca 1937 R. NR. 12-13

W hołdzie pamięci — o drogach przyszłości

Przemówienie Pana Prezydenta R. P. Ignacego Mościckiego w dniu 19 marca r. 1937

Przemawiając w ubiegłym roku w dniu imienin naszego Wielkiego Marszałka, zakończyłem wezwaniem:

„Niech więc z pokolenia na pokolenie każdorazowy Prezydent Rzeczypospolitej co roku w dniu imienin Józefa Piłsudskiego przypomina narodowi Jego trudy, Jego intencje i wytyczne, zawarte w Jego przebogatej spuściźnie".

Stosując się do tego apelu, przypomnę na wstępie mego zeszłorocznego przemówienia, co zawdzięczamy Piłsudskiemu, Jego geniuszowi i Jego nadludzkiej wprost pracy.

Stworzył nam państwo mocne, zręby tego państwa zbudował, ustalił jego granice, obronił nas przed niebezpieczeństwami z zewnątrz idącymi. Swoją pracą, przemówieniami i licznymi publikacjami wychował duże rzesze ludzi, a jego pisma i przemówienia będą miały na wiele pokoleń wychowawczy wpływ.

Nie ma dziedziny w Polsce, w której by Piłsudski nie pozostawił trwałego śladu swojej genialnej indywidualności.

Postacią swoją stworzył nam wielką tradycję, która przez setki lat będzie podtrzymywała nasz naród w najszlachetniejszych uczuciach dla państwa.

Przez stworzenie potężnego i zdrowego organizmu wojska zapewnił duże bezpieczeństwo od zewnątrz i spokój dla twórczej pracy wewnątrz kraju.

Podczas długoletniego okresu swojej pracy nie wypuszczał z rąk kierownictwa sprawami zagranicznymi, prowadząc politykę nadzwyczaj prostolinijną i pełną jawności. Żadnych tajnych układów nie prowadził. Polityka ta okazała się dla Polski nadzwyczajnie szczęśliwą, a prowadzi ją nadal bardzo umiejętnie i pomyślnie uczeń Wielkiego Marszałka, minister Beck, nie odstępując ani na krok od wytycznych swojego mistrza.

Pod wielkim dziełem konstytucji kwietniowej zdążył jeszcze Marszałek położyć swój podpis.

Wreszcie powierzonym mi ustnym testamentem wskazał generała Śmigłego-Rydza, jako swego następcę na stanowisko Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych, a rzeczywistość naszego państwa bezsprzecznie wymagała, ażeby cała Polska widziała w nim również i Wodza Narodu.

Hasłem, dla którego żył i pracował Marszałek Piłsudski od wczesnej młodości, była walka o niepodległość Polski. Hasło to było tak wielkie, że żadne inne nie mogły z nim współzawodniczyć i trzeba było wszystko temu hasłu podporządkować.

Czynił to bezwzględnie i konsekwentnie Piłsudski i dlatego przy sprzyjających innych okolicznościach, które zresztą przewidział, wywalczył ostatecznie naszą niepodległość.

Osiągnąwszy ten pierwszy cel, nie ustawał w nadludzkiej pracy, postawiwszy sobie dalsze hasło równie wielkie, jak i pierwsze: hasło ugruntowania zdobytej niepodległości.

Bo przecież nie o chwilowy efekt chodziło, nie o „sezonowe" państwo, jak niektórzy nasi sąsiedzi przypuszczali.

Mówił mi nie raz Piłsudski, że okoliczności zewnętrzne i nadal nam sprzyjają. Powinniśmy więc czym prędzej skorzystać z tego zacisza politycznego i wznieść państwo na takie wyżyny mocy, abyśmy mogli w razie zmiany warunków zewnętrznych na mniej sprzyjające — mocą własną niepodległość utrzymać i dalej prowadzić państwo do coraz większej potęgi. Nie wolno nam bowiem zapomnieć, że dogodne dla nas warunki zewnętrzne nie muszą trwać długo.

A zatem hasło ugruntowania niepodległości jest równie wielkie, a wszystkie inne w obecnej chwili są względnie małe. Temu naczelnemu hasłu wszystkie inne należy bezwzględnie podporządkować, bo może nie będziemy mieli dużo czasu do stracenia.

Jeżeli w porę nie wyzyskamy sprzyjających dla nas okoliczności zewnętrznych, to nawet mimo największych, lecz spóźnionych wysiłków, możemy się znaleźć w sytuacji nad wyraz trudnej dla utrzymania naszej pełnej niezależności.

Wiele, bardzo wiele — jak to już wspomniałem w moim przemówieniu — zawdzięczamy Wielkiemu Marszałkowi w pracy dla ugruntowania niepodległości.

Pozostała jednak jeszcze bardzo ważna dziedzina, której Piłsudski nie zdążył do końca doprowadzić, przygotowując jedynie warunki, które by dalszą pracę ułatwiły.

O tej dziedzinie tak mówi w jednym ze swoich odczytów:

„Dla obrony granic państwa społeczeństwo winno dać przede wszystkim to, co w języku wojennym nazywa się „morale". Naród, który owej „morale" nie ma dość mocno wyrobionej, ma w każdej wojnie z góry olbrzymie szanse przegranej".

W innym zaś przemówieniu Piłsudskiego czytamy:

„Idzie o to, ażeby kraj nasz zrozumiał, że swoboda, to nie kaprys, że swoboda, to nie jest „mnie wszystko wolno, drugiemu nic", że swoboda jeżeli ma dać siłę, musi rękę sąsiadom i przeciwnikom podawać, musi umieć godzić sprzeczności, a nie tylko przy swoim się upierać".

Stwierdzić niestety muszę, że owej „morale" jeszcześmy w sobie dostatecznie nie wyrobili. Nie jesteśmy zjednoczeni, co by nam pozwalało godzić sprzeczności, rękę podawać przeciwnikom — celem zdobycia siły. Zamiast zjednoczenia jesteśmy rozproszkowani, a nawet dosyć skłóceni. Powiedziałbym, że pod względem psychicznym jesteśmy jeszcze mocno rozbrojeni.

Samo dozbrojenie armii pełnej mocy nam nie da i nie obwaruje dostatecznie naszej niepodległości. Musimy struny naszej psychiki, psychiki milionów obywateli, nastroić na harmonijny dźwięk i podporządkować wszystko najważniejszemu hasłu— hasłu ugruntowania niepodległości.

Jeżeli każdy, a przynajmniej wielu z nas, to wielkie hasło będzie miał stale przed oczyma, to pracą swą w każdym przypadku będzie mógł łatwo kierować i omijać lub korygować wszystko, co godzi szkodliwie w to hasło.

Ta nasza słabość zakorzeniona w psychice obywateli nie uszła uwagi Naczelnego Wodza Marszałka Śmigłego-Rydza, który w pełnym zrozumieniu swojej roli w Polsce, powziął inicjatywę energicznej pracy dla skonsolidowania rozproszkowanego społeczeństwa.

Dał temu wyraz dnia 24 maja 1936 r., mówiąc:

„Jak można organizować państwo, jak można myśleć o uzdrowieniu czegokolwiek w państwie wtedy, kiedy się nie ma tej zorganizowanej, jednolicie kierowanej woli", a zadając sobie pytanie w imię czego trzeba ją organizować, odpowiada: „Uważam, że jedynym naszym hasłem, które może być tym pionem naszym moralnym, jest hasło obrony Polski".

I dalej mówi o tym:

„Jestem głęboko przekonany, że w tym programie wszystko się znajdzie, że się znajdzie droga wyjścia z naszych stosunków gospodarczych, że znajdzie się droga, która nas doprowadzi do wyzwolenia sił moralnych i twórczych w narodzie, do skupienia ich, do wytworzenia nowych wartości, których nam tak bardzo potrzeba. Mam wrażenie, że to hasło obrony Polski jest jak gdyby potężnym łańcuchem, który jest jednym końcem przytwierdzony do Polski. Chodzi o to, żeby jak najwięcej dłoni chwyciło za ten łańcuch, trzeba go sobie przerzucić przez ramię i ciągnąć, ciągnąć, chociażby w krzyżach trzeszczało".

„Aby Polskę podciągnąć wyżej".

Rzuciwszy to hasło, powołał Marszałek Śmigły-Rydz na bezpośredniego kierownika tej pracy oddanego sobie i zasłużonego w walkach o niepodległość żołnierza — pułkownika Koca. Dając wytyczne dla tej działalności, zapewnił jej Marszałek równocześnie swoje stałe poparcie i opiekę.

W ten sposób powstała deklaracja pułkownika Koca, powołująca do życia Obóz Zjednoczenia Narodowego.

Na kilka tygodni przed ogłoszeniem tej deklaracji Marszałek Śmigły-Rydz przedstawił mi szczegółowo jej treść, która w zupełności zgadzała się z moimi rozważaniami we wszystkich omawianych w niej dziedzinach.

Okolicznością tym radośniejszą dla mnie było, że treść tej deklaracji mogłem uważać jako „wyznanie wiary" Naczelnego Wodza.

Fakt, że inicjatywa utworzenia Obozu Zjednoczenia Narodowego wyszła od Naczelnego Wodza, którego po osieroceniu nas przez Wielkiego Marszałka już znaczna część Polski uważa i za Wodza Narodu — musi wywołać duży oddźwięk w społeczeństwie, a nawet wytworzyć żywiołowy ruch konsolidacji narodowej. Bo przecież wysunięcie tego hasła wypadło w momencie szczególnie dla nas korzystnym. Wielu bowiem z nas zrozumiało już dokładnie, że w stanie rozproszkowania niczego dobrego dla państwa spodziewać się nie można, a większa część społeczeństwa wprost instynktownie musi odczuwać osobliwość momentu dziejowego.

Gdyby ta chwila dziejowa minęła przy obojętności większej części społeczeństwa, to przyszłe pokolenie nie byłoby w stanie nam tego darować.

Wierzę mocno w zdrowy nasz instynkt, boć przyglądaliśmy się przecież takim spontanicznym reakcjom u innych wielkich narodów, które instynkt samozachowawczy skupiał około ich wodzów i uratował w porę ich państwa od rozkładu i upadku.

A takie przykłady przecież muszą i na nas działać.

Naturalnie, że w każdym z tych państw proces konsolidacyjny inaczej się odbywał, więc i u nas odmiennie musi się kształtować. Inne warunki wymagają innych metod i proste naśladowanie obcych wzorów musiałoby oczywiście doznać zupełnego niepowodzenia.

Sądząc z wielkiego nieprzerwanego napływu zgłoszeń do Obozu Zjednoczenia Narodowego, można już dziś stwierdzić, że treść deklaracji znalazła głęboki oddźwięk w społeczeństwie i to tak duży, że można to przyjąć za żywiołowy objaw naszego zdrowego instynktu konsolidacyjnego.

Obserwując to zjawisko, nie ulega wątpliwości, że ten zdrowy instynkt samozachowawczy narodu będzie się nadal ujawniał aż do chwili zwycięstwa, kiedy przeważająca większość obywateli będzie pozyskana dla hasła zjednoczenia narodowego.

Naturalnie, że wśród licznych ugrupowań naszego społeczeństwa nie wszystkie docenią od razu wagę momentu, doniosłość tego hasła.

Przywódcy kilku ugrupowań będą czynić wysiłki, ażeby swoich zwolenników powstrzymać od działania w myśl tego zdrowego instynktu.

Ale to naturalny objaw. Bo tylko przywódcy, którzy umieją obiektywnie patrzeć na bieg rzeczy, mogą się zdobyć na rezygnację z wyłącznego kierownictwa oddaną sobie rzeszą i ofiarować swą współpracę na rzecz wyższych haseł.

Ci, którzy nie umieją się na to zdobyć, mogą tylko chwilowo powstrzymać, ale nie zdołają udaremnić przejawów zdrowego instynktu w tak osobliwej dla kraju chwili.

Grupy ich i partie będą stale topniały, aż wreszcie zbyt późno spostrzegą się, że ich zapory były budowane i umocnione zbyt słabo, by móc powstrzymać żywiołowe zjawisko.

Dzięki podjęciu przez Naczelnego Wodza dalszego ciągu dzieła Naszego Wielkiego Marszałka z pełnym wykorzystaniem Jego trudu wychowawczego, Jego wskazań i wytycznych — praca idzie dalej bez większego zatrzymania celem pełnego ugruntowania Niepodległości Naszej Drogiej Ojczyzny.

A że to ugruntowanie musi się opierać na naszej mocy nie tylko duchowej, ale i materialnej, więc hasło to zmusza nas do pracy we wszystkich kierunkach, we wszystkich dziedzinach — do pracy, której rezultaty nie tylko zapewnią nam naszą najdroższą zdobycz, ale doprowadzą do pełnego rozkwitu życia kulturalnego i gospodarczego naszego państwa.

Za położenie podwalin i zrębów tej wielkiej przeszłości — pokolenia polskie po wsze czasy zachowają wdzięczność dla Wielkiego Budowniczego Państwa i Wychowawcy Narodu.

Tadeusz Lechnicki

Artykuł dyskusyjny

Fabryki nie zbudują się same*)

Anglik dobry zegarmistrz, wie, że zegarmistrzem będąc lepszym od innych, dopomaga tym krajowi swemu w jego celach ostatecznych. (Słowacki « O potrzebie idei».)

Artykuł mój, ogłoszony w Nr. 42 „Narodu i Państwa", wywołał liczne komentarze.

Jedni widzieli w nim wyraz zadraśniętej ambicji „dygnitarza sanacyjnego" w dymisji, inni chcieli się w nim dopatrzyć wewnętrznych rozgrywek w łonie obozu rządzącego, inni wreszcie, przyznając mi w zasadzie słuszność, zatrzymywali się nad drugorzędnymi fragmentami.

Niestety, ani jeden z głosów nie starał się dać oceny i odpowiedzi na dwa podstawowe zagadnienia, wyrażające się w tym:

1) że Polska nie może w najbliższym okresie uprawiać polityki izolacji i autarchii, oraz

2) że najdonioślejszym zagadnieniem jest przywrócenie opłacalności i intensywności gospodarce włościańskiej, przez zrównanie kosztów produkcji włościańskiej u nas z kosztami produkcji państw rolniczych, konkurujących z Polską na rynkach światowych.

Powtórzyło się to, co obserwuję od lat.

Nie ma dotychczas w Polsce wspólnych całemu społeczeństwu ocen i kryteriów tego, czym jest organizm gospodarczy Polski, jakie są jego siły, jakie możliwości, jakimi drogami należy iść, by przyśpieszyć rozwój sił produkcyjnych kraju.

Oceny wspólne kończą się na stwierdzeniu, że przecież wszyscy chcemy, „aby było lepiej" w Polsce.

Gdy zaś przychodzi ocena jakiegoś konkretnego zagadnienia, to wychodzą jak najjaskrawiej egoistyczne interesy tej czy innej grupy i wszelkie argumenty, wychodzące z ocen całości interesu narodowego, są odsuwane i nie trafiają do przekonania.

Parę przykładów:

Gdy w ostatnich miesiącach udowadniałem, jako przedstawiciel Ministerstwa Skarbu, że ciężar emerytur nie jest do podźwignięcia, a równocześnie wskazywałem na często rozpaczliwą sytuację wsi i t. d., to żadne argumenty nie trafiały, bo mówiono „cóż znaczy tych kilkanaście milionów w budżecie Mocarstwowej Polski".

Gdy tłumaczyłem, że pobieranie 25.000 zł. miesięcznie w stosunkowo małym warsztacie, dzięki wyzyskowi kartelowemu, jest nie do utrzymania — otrzymywałem stereotypową odpowiedź, że cóż znaczy zwiększenie o pewien odsetek kosztów własnych przedsiębiorstw i że wara wtrącać się rządowi w tę sprawę.

Gdy kartel cukrowniczy prowadził najbardziej agospodarczą politykę, tak zwanego parytetu Poznań, to jest najdroższego cukru nawet dla najbiedniejszych okolic — twierdzono, że ważne interesy wymagają utrzymania tego absurdu.

Gdy tłumaczyłem, że nadmierna wysokość robocizny, lub uprawnień emerytalnych w przedsiębiorstwach monopolowych jest podatkiem obciążającym najszersze warstwy ludności — argumenty te odpierano, wskazując na znikomość dodatkowych kosztów z tym związanych.

Gdy udowadniałem, że przy tak skromnych środkach na inwestycje, potrzeby rolnictwa muszą mieć pierwszeństwo — odpowiadano, że Polskę musi stać na posiadanie stolicy godnej w swej szacie zewnętrznej trzydziesto paro milionowego narodu.

Przykładów takich, konkretnych — autentycznych, mógłbym przytaczać setki.

Raz jeszcze stwierdzam — nie ma w społeczeństwie poczucia jedności i całości życia gospodarczego. Przepracowanie wspólnych ocen, chociażby w ogniu najzajadlejszych polemik, jest najpilniejszą koniecznością państwową. Takie też jest zadanie niniejszego artykułu, jak było poprzedniego.

Cała Polska gospodarcza, poza gospodarką wiejską, jest pokratkowana na tysiączne kwadraty. Każdy kwadrat jest eksploatowany przez jakiś przywilej, koncern, prerogatywę kartelową, zmowę jawną lub też ukrytą, etatystyczny eksperyment i t. d. Zapominamy, że minęły te czasy, by można było, jak to czyniła szlachta polska przez lat 200, prowadzić politykę kultywowania przywileju stanowego, bez względu na całość gospodarstwa narodowego.

A przecież w ogniu walki, w której znajduje się nieomal cały świat, nie ma i nie będzie innego środka skutecznej walki z komunizmem, jak realny i bezwzględnie realizowany dobrobyt mas najszerszych i odważne uświadomienie polityczne tych mas.

Nie jest wypadkiem, że w kraju najsilniejszej liczebnie i politycznie klasy robotniczej — w Anglii—zasiada w parlamencie jeden komunista.

Tyle uwag wstępnych.

*

Od szeregu lat przy wszelkich okazjach, czy to wystąpień rządowych, czy to zjazdów gospodarczych, powtarzamy setki razy:

Polska musi się uprzemysłowić, co znaczy przecież, że Polska musi budować fabryki.

Jednocześnie stwierdzamy, szczególniej w ostatnich latach, że Polska fabryk nie buduje.

A że fabryki same się nie zbudują, należy szukać odpowiedzi na pytanie, jakie istnieć muszą w Polsce warunki, by tempo uprzemysłowienia kraju odpowiadało tempu uprzemysłowienia szeregu państw europejskich.

Dla naświetlenia obrazu, pozwolę sobie przytoczyć parę najtypowszych wskaźników, które mówią, że z jednej strony cyfry konsumcji przemysłowej na głowę ludności w Polsce są wyjątkowo niskie, a więc, że mamy obiektywne dane na zwiększenie wydatne naszej produkcji przemysłowej, a jednocześnie wykazują, że tempo uprzemysłowienia Polski jest znacznie słabsze i powolniejsze, niżeli nawet w szeregu państw, z którymi warunki polskie są całkowicie do porównania.

TABLICA I.

Wskaźniki produkcji przemysłowej 1928 = 100

PAŃSTWO	1929	1930	1931	1932	1933	1934	1935
Polska	100	82	59	54	55	63	66
Anglia	106	98	89	88	94	105	112
Austria	103	87	76	66	68	74	82
Belgia	101	90	82	70	72	73	81
Czechosłowacja	104	93	84	66	63	69	73
Francja	109	110	98	76	84	78	74
Holandia	103	94	81	64	71	72	68
Niemcy	101	87	68	54	62	81	93
Norwegia	111	112	87	103	105	109	117
Szwecja	106	102	89	84	87	106	—
Węgry	102	96	89	79	86	100	113
Włochy	109	100	85	73	81	88	100

*) Artykuł niniejszy w wielu punktach nawet bardzo istotnych nie jest wyrazem poglądów Redakcji. Zgodnie z intencją autora traktujemy go jako fragment dyskusji na tematy naszych spraw i potrzeb gospodarczych. Równocześnie przypominamy, jako wyraz poglądów odmiennych a bliższych sposobowi patrzenia Redakcji, art. p. Jana Rybczyńskiego p. t. „O program gospodarczy", zamieszczony w 7 i 8 numerze „Narodu i Państwa" w lutym roku bieżącego. Redakcja.

TABLICA II.

Spożycie najważniejszych artykułów w niektórych państwach na jednego mieszkańca
Przeciętna za lata 1926 — 1929 i 1930 — 1933

PAŃSTWO	Węgiel (kg.)		Prąd elektryczny (k. W. h.)		Bawełna (kg.)		Żelazo (kg.)		Cukier (kg.)	
	26—29	30—33	26—29	30—33	26—29	30—33	1928	1932	26—29	30—33
Anglia	3791	3816	302	372	14.7	11.6	—	—	43.7	47.9
Belgia	4313	3739	463	509	10;5	8	352	169	26.3	29.1
Niemcy .	2460	1923	413	404	5.1	4.7	233	81	26.9	23.2
Francja . . .	2009	1858	305	346	8.2	7	201	136	25.5	26.7
Czechosłowacja.	1821	1458	178	193	—	—	115	40	28.2	26.1
Szwecja . . .	946	1112	730	830	3.8	3.8	—	—	37.2	46.3
Dania	969	1023	—	—	1.4	1.8	—	—	48.3	58.5
Polska	936	657	82	79	2.2	1.7	48	15	11.2	9.8

Przy szukaniu odpowiedzi na pytania, jakie są podstawowe warunki przyśpieszenia tempa uprzemysłowienia kraju, wysuwa się na plan pierwszy zagadnienie zupełnie zasadnicze, zbyt mało może doceniane w Polsce.

Kto ma budować fabryki w Polsce?

Odpowiedzi mogą być dwie:

albo polityka gospodarcza Polski ma iść metodami, które w warunkach rzeczywistości przedwojennej doprowadziły w innych krajach do potężnego rozwoju przemysłu, a więc drogą stworzenia warunków dla prywatnej inicjatywy przemysłowej,

albo przez upaństwowienie środków produkcji czy też przez utworzenie przymusowych karteli musimy szukać dróg planowego uprzemysłowienia kraju.

Osobiście jestem zwolennikiem pierwszej drogi. Równocześnie widzę trudności znalezienia linii kompromisu między tymi dwiema drogami.

Czy jednak państwo nowoczesne nie powinno przejąć od inicjatywy prywatnej troski o rozwój planowego uprzemysłowienia kraju? Czym jest gospodarczo produkcyjniejsza inicjatywa prywatna, która przede wszystkim realizuje egoistyczny pęd do największego zysku, od inicjatywy państwa, które przecież najtrafniej i najbardziej planowo organizować może zaspokojenie potrzeb obywateli.

Otóż jest zasadnicza różnica między państwem, którego aparat przemysłowo-przetwórczy jest w 90% aparatem już zainwestowanym, a więc między państwem uprzemysłowionym, a państwem, które jak Polska, ma wielkie zadania i zaległości do odrobienia. Państwo, które musi nadrobić zaległości, nie może pozwolić sobie na najmniejszą rozrzutność, musi przeciwnie w najbezwzględniejszy sposób stosować metody gospodarności i jak najdalszej oszczędności, przy swej polityce uprzemysłowienia.

Przytoczę konkretny przykład:

Miałem nadzór nad pewnym działem państwowej produkcji przemysłowej. Przychodzi do mnie naczelny dyrektor i stwierdza, że wobec zmniejszonej konsumcji przez kryzys mamy dwuletni zapas produkowanego artykułu, trzy istniejące fabryki, rozwinięte na wyrost, pracują po dwa dni w tygodniu, robotnicy mają niezmiernie małe zarobki, przy wysokich płacach dniówkowych, i że lepiej jest dać znaczne odszkodowanie, a jedną z fabryk zamknąć. Wniosek gospodarczo całkowicie uzasadniony, nie został wprowadzony w życie, gdyż przeważyła opinia zupełnie agospodarcza, że zrobiłoby złe wrażenie, gdyby rząd zamykał tak niedawno i z takim nakładem zbudowaną fabrykę.

*

Może jedną z najbardziej określonych linii podziału gospodarczego jest właśnie podział na tych, którzy w działalności swojej gospodarczej ponoszą całkowite ryzyko i konsekwencje swoich działań i na tych, po drugiej stronie, którzy mogą przerzucić koszty fałszywych dyspozycji na cudze barki, gdyż gospodarują na cudzy rachunek *).

Jest bowiem prawdą ogólną, że trwałe doświadczenie zdobywa się jedynie przy osobistym ryzyku. Człowiek, który gra i ryzykuje na cudzy koszt — łatwo powraca do popełnionych błędów.

Wyjątek z tej ogólnej zasady mogą i muszą stanowić tylko te działy, gdzie pewne interesy ogólne, niejako pozagospodarcze, grają rolę dominującą, a więc przemysły bezpośrednio pracujące na uzbrojenie kraju oraz przedsiębiorstwa użyteczności publicznej.

Wprawdzie dwa najgospodarniejsze narody — Anglia i Niemcy — właściwie nie posiadają państwowego przemysłu wojennego, a nawet przeprowadzona ostatnio przez specjalną komisję ankieta, dała w Imperium Brytyjskim odpowiedź, że przemysł zbrojeniowy winien pozostać przemysłem prywatnym i że jedynie uzasadniona jest wzmożona kontrola ze strony państwa nad tym przemysłem. W naszych jednak warunkach polskich, rzecz prosta, nie może być mowy o wkraczaniu na drogę tak integralnej jednostronności prywatnej inicjatywy gospodarczej. Stąd też o przykładach tych wspominam tylko nawiasowo.

Jednakże bez stałej walki o byt, bez automatyzmu w usuwaniu niedołęgów i cudotwórców, bez ryzyka osobistego nie ma warunków istotnego postępu gospodarczego.

Państwo posiada zawsze możliwości przerzucenia skutków ewentualnych fałszywych dyspozycji gospodarczych w drodze bezpośredniej lub pośredniej na wytrzymałe barki trzydziestomilionowej rzeszy obywateli **).

W ramach gospodarki prywatnej każda rozrzutność, każda fałszywa dyspozycja, nie usunięta szybko, doprowadza do bankructwa, które jest tu czynnikiem regulującym, zabezpieczającym od zbyt długiego popełniania błędów, wynikających z rutynizmu i braku czy też nadmiaru inicjatywy.

*

Lecz gdy staramy się odpowiedzieć na pytanie, jakie są doświadczenia człowieka gospodarującego w wolnej Polsce na własne ryzyko i własny rachunek i nie chronionego specjalnymi przywilejami, wynikającymi ze zmowy kartelowej, lub jakiegoś przywileju nadanego mu przez państwo, — to, niestety, odpowiedzieć musimy, że doświadczenia te są najczęściej ujemne.

Największym i podstawowym działem gospodarstwa narodowego, produkującym na własne ryzyko — jest rolnictwo polskie. Ocenę jego dorobku dałem w jednym z poprzednich numerów pisma — ocena ta wypadła ujemnie. Podobnie jest z tymi działami przemysłu, które pracują na własne ryzyko przedsiębiorcy i nie są związane zmowami kartelowymi. Pouczająca praca inż. Cywińskiego daje nam w tym względzie ciekawy materiał dowodowy. Każdy z nas ponadto, jeśli zanalizuje przykłady sobie znanych samodzielnych

---

*) Pozwolę sobie przytoczyć znaną, wesołą anegdotkę:

Pytają diaka: — Wiele pan wypić może?

Przezorny diak zapytuje przede wszystkim na czyj rachunek.

Gdy dostaje odpowiedź, że na rachunek cudzy, stwierdza, że wypić może „nieskończoną ilość".

Każdy, kto zna praktycznie życie, nie od strony zasad, lecz od strony codziennych doświadczeń, stwierdzi, że anegdotka ta niezbyt odbija od rzeczywistości. Inaczej się gospodaruje na własny rachunek, inaczej z cudzej kieszeni.

**) W ostatnio wydanej książce „La révolution trahie" Leon Trocki, aczkolwiek dochodząc do innych wniosków ostatecznych, w sposób następujący charakteryzuje etatyzm wogóle, a w szczególności etatyzm sowiecki.

„Niezależnie od programu rządów, etatyzm polega nieuniknienie na przerzucaniu ciężarów zbutwiałego systemu z silniejszych na słabszych... Etatyzm hamuje rozwój techniki, podtrzymując przedsiębiorstwa nieżywotne, oraz pasorzytnicze warstwy społeczne, słowem — jest głęboko „reakcyjny". A o stosunkach sowieckich pisze:

„Według wzorów przejętych od zagranicy, można zakładać olbrzymie fabryki, pod biurokratycznym kierownictwem—co prawda nakładem kosztów przewyższających trzykrotnie ich wartość rzeczywistą. Ale w miarę postępów, coraz częstsze będą kolizje z zagadnieniem jakości produkcji, nieuchwytnym dla biurokracji".

„Biurokracja zabija inicjatywę twórczą oraz poczucie odpowiedzialności, bez których postęp jakościowy produkcji nie jest możliwy. Wady systemu są może mniej widoczne w ciężkim przemyśle, trawią one przemysł lekki, artykułów spożywczych, spółdzielczość, kołhozy, oraz przemysły lokalne, t. j. wszystkie gałęzie produkcji, bliskie ludności".

Tak pisze o kraju „wszelkich możliwości", zajmującym 1/6 świata, posiadającym niezmierzone bogactwa naturalne, jeden z twórców przewrotu październikowego.

Przypomnę sobie z moich młodych lat falę młodzieńczego idealizmu, płynącą z za oceanu. „Wprowadzenie prohibicji odrodzi ludzkość" — i wydaje mi się czasem, że dobrze że przez doświadczenia prohibicji przeszły Stany Zjednoczone i szczęśliwie dla ludzkości, że Rosja przechodzi przez pełne upaństwowienie środków produkcji.

przedsiębiorstw, dojdzie niechybnie do moich wniosków w tej sprawie*).

Człowiek inicjatywy gospodarczej, człowiek ryzyka, a więc typ, na którym budowały swój ustrój i pomyślność przemysły wszystkich narodów, przegrał w Polsce.

A więc jeśli inicjatywa prywatna, swobodna prężność twórczych sił społecznych, ma się stać czynnikiem, na którym powinna się oprzeć polityka uprzemysłowienia kraju, to równocześnie polityka państwa musi stworzyć warunki, w których ta inicjatywa i energia prywatna, czy społeczna mogłyby się rozwijać.

Należy pamiętać, że ryzyko inwestycji przemysłowych, szczególnie ryzyko fałszywej dyspozycji inwestycyjnej, jest dziś nieporównanie większe, niż było przed wojną, gdy przez pół wieku prawie trwała pomyślna koniunktura dla produkcji przemysłowej.

Inwestycje, najostrożniej, najsumienniej skalkulowane, mogą dzięki posunięciu jakiegoś państwa trzeciego okazać się rujnującymi dla inwestującego. Ryzyko nowoczesnej wojny jest większe dla posiadacza przedsiębiorstwa przemysłowego, niż dla właściciela ziemskiego lub nieruchomości miejskiej. Wreszcie nowoczesny przemysł wymaga często wielkiej koncentracji kapitału, a w warunkach polskich — rozłożenie ryzyka inwestującego na szerokie warstwy społeczeństwa przez akcję emisji kapitału akcyjnego jest praktycznie bardzo trudne.

To też z wyjątkową troską należałoby dbać, by zdrowa inicjatywa przemysłowa otoczona była w Polsce atmosferą specjalnej przychylności i doceniania jej wielkiego znaczenia dla kraju.

Odstraszający bowiem od wszelkiego ryzyka klimat polityczny europejski ostatnich lat musi znaleźć zneutralizowanie w atmosferze wewnętrznej życia polskiego.

I tu należy stwierdzić z całym naciskiem, że zysk uczciwy, dorobek indywidualnych talentów, pracy i wytrwałości, powinien być, podobnie jak na całym świecie, otoczony atmosferą zrozumienia i podniety.

Zadaniem państwa powinna być walka nie z zyskiem, lecz z wyzyskiem, który wszelkimi środkami pragnie pomniejszyć uczciwy dorobek ludzi pracujących w kraju.

Natomiast ze strony kierowników przemysłu musi być realizowana praktycznie świadomość:

a) że rynek wewnętrzny polski, którego podstawą jest wielomilionowa ludność wsi i miasteczek, jest rynkiem bardzo chłonnym na towar przemysłowy, którego cena dostosowana będzie do skromności i niemal ubóstwa najszerszych warstw odbiorców oraz

b) że rynek światowy, którego lekceważyć nie wolno, będzie kształtował swe ceny według kosztów produkcji najtaniej pracujących przemysłów narodowych i że polityka premii, wysokiego poziomu cen wewnętrznych dla popierania eksportu ze stratą wyniszcza siły organizmu gospodarczego Polski i że nie może być kontynuowana przez dłuższy okres czasu.

Toteż jeśli naczelnym zawołaniem ma być realizowanie hasła „więcej pracy w Polsce" — to założeniem naszym musi być taniość produktów.

Świadomość praktyczna tej prawdy musi stać się dorobkiem całego społeczeństwa — inaczej nie ruszymy z miejsca.

*

Gdyby szukać odpowiedzi na pytanie — od czego zależy rozwój zdrowej prywatnej inicjatywy przemysłowej — to doszłoby się do stwierdzenia, że musi istnieć jednocześnie i na czas dłuższy szereg warunków, które, uzupełniając się wzajemnie i przyjęte przede wszystkim przez opinię społeczeństwa, stworzą warunki dla zdrowych procesów uprzemysłowienia.

Możnaby na tym miejscu użyć trafnego porównania, że podobnie, jak hodowana roślina dla osiągnięcia pełni rozwoju potrzebuje światła, ciepła, wilgoci, no i umiejętności ludzkich, a brak jednego z tych czynników, skazuje ją na skarłowacenie, podobnie uprzemysławiać może się kraj, gdy:

1) polityka gospodarcza państwa, zapewnia przemysłowi rozsądne, stabilizowane warunki w dziedzinie podatkowej, celnej, surowcowej i t. p., nie krępując inicjatywy indywidualnej;

2) polityka finansowa zabezpiecza dopływ zdrowych kredytów inwestycyjnych i obrotowych dla rozwijającego się przemysłu;

3) warunki wewnętrzno - polityczne i społeczne — budzą w inwestującym przeświadczenie, że będzie mógł korzystać w granicach praw obowiązujących, z owoców swoich zabiegów i uczciwej pracy;

4) wreszcie gdy istnieje zastęp ludzi, „korpusu oficerskiego przemysłu", który ma we krwi tradycje czynnej postawy w stosunku do otaczającego go świata. Zagadnienie człowieka zresztą, jest zawsze i najtrudniejsze i decydujące.

Rozpatrzmy choć w wielkim skrócie, jak w rzeczywistości polskiej przedstawia się sytuacja w tych czterech zasadniczych punktach.

Polityka podatkowa w latach „prosperity" poczyniła ogromne spustoszenia w czynnej postawie drobnego przemysłu.

Bo wielki koncern, wielkie przedsiębiorstwo, ma środki do obrony przed niewłaściwym i nieoględnym wymiarem podatkowym, doprowadzając sprawy aż do trybunału administracyjnego. Natomiast od indywidualnych warsztatów, na zapytanie dziesiątków tęgich, drobnych posiadaczy, dlaczego nie rozszerzają swoich możliwości produkcyjnych, otrzymywałem stereotypową odpowiedź, że jeszcze nie sprzedali za 100 zł. artykułów nowej produkcji, a już mieli egzekucję podatkową lub kasy chorych.

Należy przyznać, że pod tym względem jest dziś znacznie lepiej, wymiary są realniejsze, egzekucje sprawiedliwsze, niemniej jednak wśród drobnych przedsiębiorców jest zawsze nastrój niepokoju w stosunku do niespodzianki, która może czekać od strony podatkowej, lub ubezpieczalni.

Nie poruszam tu świadomie zagadnienia najistotniejszego: oceny całkowitej wysokości obciążeń publicznych w kosztach produkcji w Polsce. Przy dzisiejszych koniecznościach budżetu dla obrony kraju zmniejszenie tych ciężarów jest niemożliwe, chodzi więc raczej, o radykalne przeciwstawienie się tendencjom do zwyżek budżetów, zwłaszcza samorządowych oraz o niezaprzestawanie wysiłków nad racjonalniejszym rozłożeniem tych ciężarów i usprawnieniem administracji skarbowej.

W ramach niniejszego artykułu nie mieści się analiza szczegółowa naszej polityki celnej. Pragnę jedynie stwierdzić, że pomimo wszystkich trudności, na jakie napotyka w obecnych warunkach światowych rozsądna polityka celna — Polska musi iść po linii stopniowej likwidacji w drodze autonomicznej czy też traktatowej, wszystkich wybujałości ostatniej taryfy celnej. Bez ich usunięcia nie ma zdrowej i ustabilizowanej polityki uprzemysłowienia, nie ma polityki surowcowej — musi być łatanina i szarpanina ciągła, musi być interwencja administracji w kształtowaniu cen i t. d.

Niestety, opinia publiczna zupełnie nie docenia wyjściowego znaczenia racjonalnej polityki celnej dla rozwoju kraju.

Nie powracam też do tematu, czy tak kosztowne absurdy gospodarcze polskiej taryfy celnej — były nieodzowne, wobec zniszczenia wojennego warsztatów, obawy przed agresją polityczną niezniszczonego przez wojnę przemysłu niemieckiego i t. d. Fakt jednak pozostaje faktem, że nadmierna obrona celna wykoszlawiła na wielu odcinkach zdrowy rozwój przemysłowy polski i pozwoliła na wszystkie wybujałości kartelowe w Polsce. Zeszłoroczna wystawa budowlana B. G. K. — potwierdziła raz jeszcze w swych tablicach porównawczych, że najskromniejsze koszta instalacji inwestycyjnych w „biedniej" Polsce, są o kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset procent droższe, od analogicznych instalacji w Niemczech, Czechosłowacji, nie mówiąc już o Belgii, kraju klasycznej taniości i klasycznie wielkiej produkcji i zamożności **).

W publikacjach inspirowanych przez tak zwane „koła gospodarcze" niejednokrotnie powtarza się twierdzenie o antyprzemysłowej psychice społeczeństwa. Jest w tym co najmniej ogromna przesada.

Społeczeństwo jest wrogo i słusznie wrogo nastawione w stosunku do zmów kartelowych, krępujących rozwój zdrowej inicjatywy indywidualnej.

---

*) Autentyczny przykład. Przed paru tygodniami siedzieliśmy w miłej koleżeńskiej pogawędce z grupą kolegów, zajmujących przeważnie od szeregu lat wybitne urzędowe stanowiska, i znających stosunki polskie dokładnie. Zapytałem niespodzianie. „Proszę o przykład konkretny z życia człowieka, który, gospodarując na własnym warsztacie, na własne ryzyko, nie dzięki koncesji czy zmowie kartelowej, dorobił się uczciwie w Polsce niepodległej chociażby skromnego majątku". Grobowe milczenie było odpowiedzią na moje pytanie. Wtedy zapytałem o konkretne przykłady bankructw ludzi, prowadzących pomyślnie przed wojną samodzielne warsztaty pracy. Posypały się odpowiedzi. „Ojciec mój był człowiekiem względnie zamożnym, posiadał własny warsztat w Warszawie, zbankrutował w 1930 r. Po jego śmierci zrzekliśmy się spadku, pomimo tego dotychczas jestem ciągany przez Urzędy Skarbowe, Ubezpieczalnie za zaległe świadczenia."

2) Stryj mój miał własny warsztat w Sosnowcu. Przed wojną prosperował dobrze, zbankrutował, był bliski samobójstwa. Wyrobiłem mu posadę za 400 zł. w skartelizowanym przemyśle na Śląsku. Jest dziś jednym z najpogodniejszych ludzi".

3) „Brat mój miał fabryczkę chemiczną w Warszawie. Zbankrutował".

4) „Krewnemu memu powodziło się dobrze, pracował samodzielnie, miał nieostrożność zakredytować samorządy na znaczne sumy, oddłużono go obecnie—i jest zrujnowany. Ci, co go zrujnowali, są nadal burmistrzami i dygnitarzami miejskimi".

Przykład był wart zacytowania. Jest autentyczny i jakżeż odzwierciadla rzeczywistość polską?

**) Stosunki w Polsce są ponadto obciążone faktem dużego udziału kapitału zagranicznego. Uzasadnionym dążeniem kapitalisty zagranicznego, jest uzyskanie najwyższego zysku, szybkiej amortyzacji przy najmniejszym ryzyku, to też często dla inwestora zagranicznego, jest bardziej zyskownym i interesującym — mały obrót przy wysokich cenach, niż odwrotnie.

Polityka finansowa państwa, respektująca prawo do zysku godziwego, musi przedewszystkiem, po przez politykę celną — dążyć do zainteresowania w dużych obrotach każdego produkującego w kraju.

Przy umiarkowanej taryfie celnej i polityce handlowej, nastawionej na zwiększenie obrotów handlu zagranicznego, organizacje kartelowe są b. często szczęśliwą formą uporządkowania warunków produkcji, przez zabezpieczenie od rujnującej walki z nieuczciwą konkurencją.

Lecz jakżeż nazwać politykę np. kartelu karbidowego, który płacił za przestój nowoczesnym technicznym zakładom na Śląsku, o niskich kosztach produkcji, a produkował karbid na instalacjach „pamiętających ministra Lubeckiego".

Podobnych przykładów mógłbym przytaczać wiele.

W toku mego urzędowania, z liczby dziesiątków spraw kartelowych, dane mi było prawie samodzielnie referować i prowadzić politykę w stosunku do dwuch ważnych karteli: cementu i cukru.

Polska zastała w trzech dzielnicach przemysł cukrowniczy. W każdej dzielnicy przemysł ten był inaczej zorganizowany i zainteresowany. Dzielnice zachodnie posiadały świetnie zorganizowany, niezniszczony przez wojnę przemysł cukrowniczy. Parę cukrowni zachodnich należało do największych warsztatów w Europie. Były zabór rosyjski posiadał przemysł oparty na typie małego warsztatu rolniczego, nader często zniszczonego przez wojnę. Gdyby przemysł cukrowniczy pozostawić swobodnej grze sił — niechybnie małe warsztaty, tak doniosłe z punktu widzenia rolniczego, byłyby doprowadzone do bankructwa przez tanio pracujący nowoczesny przemysł dzielnic zachodnich.

Kartel dobrowolny czy przymusowy w cukrownictwie był koniecznością. Jednakże kartel ten, w pewnym okresie był rażąco niedostosowany do wytworzonych w dobie kryzysu warunków.

Przez odpowiednią politykę ostatnich lat doprowadziło się ceny cukru do wskaźnika 46 w stosunku do cen dobrej koniunktury.

A równocześnie za kilo cukru cukrownia otrzymuje dzisiaj 51 gr., nie należy bowiem zapominać, że w cenie detalicznej jednego złotego mieści się około 40 gr. podatku spożywczego, którym nie jest obciążony żaden inny artykuł użytku codziennego.

Kartel cukrowniczy, dzięki wyjątkowo sprężystej organizacji sprzedaży, ograniczył koszty pośrednictwa do niesłychanie skromnych rozmiarów.

Rezultatem tej polityki cen była niespodziewana nawet dla najlepszych znawców reakcja konsumpcji, która wzrosła w poszczególnych miesiącach o przeszło 20%.

Zgoła inaczej sytuacja przedstawiała się z kartelem cementowym, który prowadził całkowicie sprzeczną z interesami gospodarstwa narodowego politykę wysokich cen, wypłat za przestój, międzynarodowych porozumień, utrudniających racjonalną politykę produkcji. Rezultatem polityki tego kartelu był nienotowany spadek konsumpcji, zastój i niedostosowanie do warunków polskich.

Państwo zmuszone było wkroczyć radykalnie. Mocą wyroku sądu kartelowego kartel cementowy został rozwiązany. Nastąpił gwałtowny i konieczny spadek cen, ceny spadły przejściowo o 60% (ze zł. 7 do zł. 3).

Zbyt zwiększył się natychmiast. Wzrósł z 368.000 tonn w 1932 r. do 1.000.000 tonn w roku 1936, a więc prawie o 200%.

Przedsiębiorstwa cementowe dzięki tak wydatnemu wzrostowi konsumpcji, na zwiększonych obrotach wyrównały braki wynikłe z radykalnego spadku cen. (Patrz sprawozdanie Firleja z ostatnich miesięcy, najuporczywszego przeciwnika rozwiązania kartelu).

*

Drugim podstawowym warunkiem, bez którego szybszy rozwój uprzemysłowienia kraju jest nie do pomyślenia — jest polityka Państwa w stosunku do kształtowania się rynku finansowego.

Cały przemysł nasz z nielicznymi bardzo wyjątkami cierpi na brak kapitałów tanich zarówno obrotowych jak inwestycyjnych.

Koszty produkcji w Polsce są obciążone niepomiernie wyższymi stawkami kosztów kapitału, niż to ma miejsce w krajach zachodniej Europy. Inwestujący w przemyśle polskim nie może rozłożyć swego ryzyka na szerokie warstwy subskrybentów akcji przemysłowych, jak to ma miejsce jeszcze dziś na zachodzie.

Poniższa tablica emisji akcji w Polsce świadczy dobitnie, jak bardzo akcja przemysłowa w Polsce straciła atrakcję jako lokata dla posiadacza kapitału.

TABLICA III

Em'sje kapitałów akcyjnych w niektórych państwach w latach 1928 — 1935
(„Mały Rocznik Statystyczny" za rok 1936)

PAŃSTWA	Waluta	1928	1929	1930	1931	1932	1933	1934	1935	
		w milionach jednostek odnośnej waluty								w milj zł.
Polska	złoty	328	245	219	74	142	48	23	75	75
Anglia	£	363	254	236	89	113	133	150	183	4752
Austria . . .	szyling	131	103	57	37	59	215	97	50	50
Belgia	fr.	12263	14966	5356	4404	2152	1743	2167	3082	604
Czechosłowacja	kč	715	665	450	513	321	248	181	332	73
Francja . . .	frank	10513	15106	21877	16376	6425	3625	4092	2780	972
Japonia . . .	yen	1457	1042	457	558	439	1136	1334	1427	2169
Niemcy . . .	RM	1339	979	555	635	150	91	143	152	325
Stany Zj. Am. .	$	8114	10183	7023	3116	1192	716	1419	1442	7640
Włochy . . .	lira	5397	7281	6164	4332	3647	3345	3549		1618*)

*) Rok 1934

Jest to strata niełatwa do powetowania i lata upłyną, zanim akcja przemysłowa stanie się atrakcyjnym papierem giełdowym.

Niezawsze było tak na ziemiach polskich. Pochodzę z Lubelskiego, gdzie w ciągu kilkunastu lat powstał skoncentrowany przemysł cukrowniczy, oparty i sfinansowany na subskrypcji najszerszych mas ludności. Akcja cukrownicza była uważana za najlepszy i najpewniejszy papier lokacyjny. Pamiętam, jak przy powstawaniu każdej nowej cukrowni pytano przede wszystkim, czy będzie ona organizowana przez p. Bohdana Broniewskiego, gdyż wszyscy wiedzieli, że może on nie zapomni o swoich własnych interesach, wiedzieli jednak napewno, że interes drobnego subskrybenta będzie chroniony i szanowany.

W zmienionych warunkach musi być podjęta walka, dzisiaj napewno trudniejsza, niż dawniej, która by powróciła zaufanie do solidności kierowników przemysłu i do ich uczciwej dbałości o interesy tych, którzy im powierzyli najczęściej ciężko zapracowane swoje oszczędności.

W poprzednim artykule omówiłem szczegółowo doniosłość rynku pieniężnego dla rozwoju i opłacalności rolnictwa. Uwagi tam sformułowane z małymi zmianami dadzą się powtórzyć w stosunku do zagadnienia znaczenia kształtowania się rynku pieniężnego dla procesu uprzemysłowienia kraju.

Jeśli państwo nadal w tak wysokim stopniu absorbować będzie rynek pieniężny, zwłaszcza pieniądz dłużej terminowy, a więc lokaty Zakładów Ubezpieczeniowych i t. d., jak to czyniło dotychczas, czy to na pokrycie deficytów budżetowych w latach 1932 do 1935, czy to na roboty publiczne i plan inwestycyjny, to nie da się pomyśleć rozwiązanie podstawowego zagadnienia dla rozwoju przemysłu: taniego kapitału obrotowego, oraz długoterminowego kredytu inwestycyjnego.

Układ stosunków na rynku pieniężnym jest bowiem czynnikiem zawsze decydującym dla tempa uprzemysłowienia kraju.

*

Przechodzę do zagadnienia następnego, stanowiącego jeden z istotnych warunków rozwoju tempa uprzemysłowienia kraju: do drażliwego tematu stosunku między pracodawcą i pracownikiem — do kwestii robotniczej w Polsce.

Zagadnienie to jest w Polsce specjalnie obciążone szeregiem serwitutów: brak polskiego stanu posiadania w przemyśle, obciążenia doktrynalne, które przez długie dziesiątki lat stanowiły istotę haseł polityczno-ustrojowych mas robotniczych we wszystkich niemal krajach świata, wreszcie eksploatacja haseł klasowego interesu robotniczego przez polityczne interesy międzynarodowe — stanowi o tym, że bardzo trudno jest być należycie zrozumianym, gdy się mówi o interesach klasy robotniczej w Polsce.

Przy ocenie tych spraw wychodzę z najprostszych założeń:

a) że inną musi być postawa polityczna i społeczna klasy robotniczej w kraju, który już jest wysoko uprzemysłowiony i który ma zamortyzowaną większość kapitału ulokowanego w przemyśle, inną zaś w krajach, gdzie są olbrzymie zaległości w uprzemysłowieniu i gdzie najistotniejszym szerzej pojętym interesem klasy robotniczej jest stworzenie warunków i przyśpieszenie tempa uprzemysłowienia kraju. Bo nawet najbardziej zajadły krytyk i reformator istniejącego stanu rzeczy, w dzisiejszym świecie produkcji kapitalistycznej, musi przyznać, że znacznie łatwiejsza jest reforma ustroju gospodarczego w kraju, gdzie przemysł jest już wysoko zorganizowany i gdzie techniczne i materialne położenie i bogactwo ułatwia procesy objęcia przez państwo dyspozycji produkcyjnej. Wydaje się przeto, iż nawet dla

człowieka, żyjącego zdecydowaną negacją w stosunku do panującego w całej Europie, poza Rosją Sowiecką, ustroju — musi egzystować konkretne zainteresowanie, by tempo uprzemysłowienia kraju nie było hamowane.

b) Każdy nowy warsztat pracy, każdy nowy robotnik zaangażowany w procesie produkcyjnym, jest niechybnie wzmocnieniem szeregów i siły klasy robotniczej. Dla tej klasy przede wszystkim nie może być obojętny fakt, że w przeciągu ostatnich lat kryzysu, co najmniej około miliarda złotych zostało przeinwestowane w budownictwo mieszkaniowe, a jednocześnie tak słabe i zniżkowe było tempo powstawania nowych warsztatów produkcyjnych w kraju. Gdyby połowa tej sumy była skierowana na inwestycje fabryczne, klasa robotnicza uzyskałaby wzmocnienie swych szeregów o niejeden dziesiątek tysięcy stale zatrudnionych. To też napewno istotny interes klasy robotniczej wymaga, by w okresie dziesięciu najbliższych lat stworzyć w Polsce warunki do przyśpieszonego uprzemysłowienia kraju.

c) Wreszcie zagadnienie bezrobocia kładzie się najcięższym brzemieniem na sytuację nieomal każdej rodziny robotniczej. Kto zna stosunki na Śląsku np. lub w Zagłębiu Dąbrowskim, ten wie, jak rzadkim jest wypadek rodziny w pełni zatrudnionej. Wzrost zatrudnienia przeto przynosi przede wszystkim natychmiastową i bezpośrednią ulgę warstwom robotniczym w Polsce.

Otóż niewątpliwie jednym z istotnych warunków uprzemysłowienia kraju jest ułożenie stosunków między pracodawcami i pracobiorcami w kierunku uniknięcia zbędnych i szkodliwych zatargów.

Nie chciałbym być źle zrozumianym.

W sytuacji, gdzie na miejsce każdego zwolnionego czeka dziesięciu bezrobotnych, gotowych iść na najdalsze ustępstwa, byle otrzymać pracę stałą, pozycja klasy robotniczej w obronie swych słusznych praw musi mieć postawę czynną, niemal agresywną.

By nie być wyzyskiwanym, robotnik musi być w każdej chwili gotów do czynnego upomnienia się o należne mu prawa.

Jednocześnie jednak musi mieć całkowitą świadomość, że walka jego, walka konieczna, zasadniczo nie powinna przekraczać ram legalnego, choćby najostrzejszego wystąpienia. Tymczasem jesteśmy świadkami normalizowania się niejako tego rodzaju walki ekonomicznej, który nie daje się pomieścić w tych ramach. Mam tu na myśli przede wszystkim formę strajków okupacyjnych.

Jest też chyba pewna ironia w faktach, że w Belgji vice-premier, prezes II-giej Międzynarodówki, p. Vandervelde zlikwidował przez żandarmów w sposób drastyczny i radykalny próby strajków okupacyjnych wiosną ub. r., podobnie jak we Francji, rządzonej przez radykalnie lewicowy kartel, p. Blum strajki te likwiduje w sposób bardzo zdecydowany przy poparciu opinii większości podtrzymujących go stronnictw*).

W kraju dyktatury robotniczej jest nie do pomyślenia żadna reakcja o charakterze „akcji bezpośredniej" przeciwko wszechpotędze państwa, jako pracodawcy. Wreszcie ani w Anglii, ani w Niemczech, ani chyba w żadnym kraju nie jest do pomyślenia stan, który stał się normalny w Polsce, że strajk okupacyjny stał się zwykłą formą walki o codzienne postulaty klasy robotniczej.

Strajk okupacyjny ma charakter akcji wyjątkowej. A więc gdy robotnicy na Mortimerze, którym groziło zamknięcie i zalanie kopalni, zjechali na dół w imię protestu, był to akt rozpaczy, przy którym stanęły sympatie całego społeczeństwa.

Gdy jednak strajk okupacyjny staje się zjawiskiem normalnym w walce o najdrobniejsze postulaty, to stan ten musi budzić daleko idące zastrzeżenia, gdyż niszczy w zarodku jeden z najistotniejszych warunków przyśpieszonego rozwoju przemysłu w kraju — względny spokój i obliczalność pracy przemysłowej w Polsce. Z niebezpieczeństwa tego powinny sobie zdawać sprawę nawet i związki zawodowe, jako reprezentujące interes robotnika, wybiegający poza ramy jednorazowego sucesu.

Poniższa tablica świadczy, jak niepomiernie i nienormalnie wielką jest ilość zatargów w Polsce w porównaniu do innych krajów.

TABLICA IV.

Zatargi pracy w niektórych państwach w 1935 r.

PAŃSTWO	ilość robotników w tysiącach	liczba zatargów	liczba straconych robotniko-dniówek w tysiącach
Polska	602	1186	1957
Anglia	10.380	553	1955
Szwecja	394	103	760
Belgja	893	148	621
Czechosłowacja	1.917	219	435
Francja	2.234	427	—
Holandia	469	142	262

dane 1934 r.

A równocześnie musimy sobie zdać sprawę, że istnieją w Polsce ogromne rozpiętości między sytuacją pracującego pełny tydzień, a bezrobotnego.

Z podanych niżej tablic (Tablica VI) wynika, że są dziedziny, szczególnie w przemyśle skartelizowanym, gdzie poziom płac w Polsce nie jest niższy od przeciętnych

TABLICA V

Wskaźniki płac realnych*)

PAŃSTWA	1929	1930	1931	1932	1933	1934	1935	
Polska	100	106	110	111	112	112	114	Górnictwo, przemysł — *zarobki godzinne*
Anglia	100	104	109	110	112	111	111	Rolnictwo, górnictwo, przemysł, transp., służba publ. — *tyg. pł.*
Austria	100	104	106	103	103	99	—	Górnictwo — *zarobki średnie*
Czechosłowacja	100	104	111	113	113	111	109	Górnictwo — *zarobki średnie*
Dania	100	107	114	114	110	107	105	Przemysł, transport i t. d. — *zarobki godzinne*
Jugosławia	100	110	114	115	111	112	111	Przemysł, transport, handel i t. d. — *dzienna płaca*
Luksemburg	—	—	—	—	—	—	—	
Łotwa	—	100	107	108	102	104	104	Przemysł i t. d. — *zarobki godz.*
Niemcy	100	106	109	104	104	101	99	Górnictwo, przemysł, transport - *godzinne płace*
Węgry	100	102	106	108	109	107	102	Górnictwo — *zarobek średni*

*) Według danych międzynarodowego Biura Pracy

norm Europy Zachodniej, przy czym zmiany tych płac w ostatnim okresie (Tablica V) nie układają się niepomyślnie.

Nie należy przy tym nigdy zapominać, że jednocześnie przeciętnie chłop polski małorolny otrzymuje za dzień swej pracy na własnym warsztacie 0 zł. 86 gr.!, a ludność wiejska stanowi 70% ludności kraju.

Oczywiście należy uczynić tu najbardziej kategoryczne zastrzeżenie, że liczby powyższe mogą ilustrować tylko fakt ogromnej rozpiętości zarobków robotniczych w Polsce, nie zaś ich wysokości przeciętnej. Przeciwnie, należy stwierdzić, że wypadki „arystokracji robotniczej" są w Polsce rzadkie i że przeciętny poziom robocizny jest wysoce skromny i ułatwia nam procesy konkurencyjne z produkcją światową. (Tak więc np. konkurencyjność np. naszego przemysłu drzewnego, zwłaszcza dyktowego, opiera się przede wszystkim na tanim robotniku na kresach wschodnich).

Oczywiście o realnej wysokości zarobku decyduje również i ilość faktycznie przepracowanych godzin.

Uznałem za wskazane z całą szczerością dać parę uwag w tej sprawie, gdyż stanowi ona jeden z ważnych czynników w życiu przemysłowym kraju.

Zaznaczam, że jednocześnie uważam za jedno z najpilniejszych zadań poli-

*) Powyższe nie osądza słuszności i konieczności reform społecznych rządu Bluma.

Nie zapomnę rozmowy, z jednym z najwybitniejszych ludzi gospodarczych dzisiejszej Szwajcarii, który mi mówił, że reformy te były już oddawna nieodzowne. Bogata Francja była terenem szeregu najjaskrawszych niesprawiedliwości społecznych.

TABLICA VI

Zarobki przeciętne robotników w hutach żelaza dniówkarzy i akordowych, przy 8-godz. pracy dziennej = 48 godzin w tygodniu, a w oddziałach ruchu pracujących bez przerwy 56 godzin w tygodniu wraz z dodatkami socjalnymi.

1) POLSKA		
a) Polska	1,18 zł.	na godzinę
b) Województwo Śląskie	1,40 zł.	„ „
c) Województwo Kieleckie	0,83 zł.	„ „
2) NIEMCY		
a) Śląsk	0.62 Rmk	„ „
b) Grupa półn. zach.	0,84 „	„ „
c) Niemcy półn.-zach. i środkowe łącznie	0,73 „	„ „
d) Saksonia	0,81 „	„ „
e) Nadrenia, Westfalia	0.85 „	„ „
3) CZECHOSŁOWACJA	6,00 Kc.	„ „
4) BELGIA	1,12 fr. belg.	„ ok. 1,00 zł.
5) FRANCJA	3,57 fr. franc.	„ ok. 1,25 zł.

tycznych, by klasa robotnicza otrzymała całkowity wgląd w podstawowe elementy sytuacji gospodarczej kraju i żeby szerzej pojęty interes klasy robotniczej, który przecież leży w intensywniejszym zatrudnieniu na istniejących warsztatach i w budowie nowych warsztatów, doszedł do świadomości najszerszych warstw pracujących.

*

Przechodzę do omówienia zagadnienia decydującego, lecz jakżeż trudnego, do tego — co jest motorem wszelkiej pracy gospodarczej, co decyduje o jej powodzeniu, lub załamaniu — do człowieka w życiu przemysłowym w Polsce.

Kultura gospodarcza ludzi nie da się nabyć z dnia na dzień.

Największą klęską i przyczyną naszych niepowodzeń jest brak narodowego stanu posiadania w dziedzinie tradycji i form nowoczesnego życia gospodarczego.

Wszystko, co jest nowoczesnym większym wysiłkiem, śmielszą realizacją, było w wielkim stopniu realizowane poza bezpośrednim udziałem narodu polskiego.

A dziś wytwarza się jeszcze jedna swoista cecha układu stosunków w Polsce.

Przypominam sobie rozmowę z Francuzem, chyba najlepszym znawcą stosunków polskich, mówił mi, że zupełnie nie rozumie polityki wynagrodzeń w Polsce. Przytaczał mi dla porównania, uposażenia największe we Francji, które były dalekie od uposażeń w Polsce, mówił mi, że te przerosty są jedynie możliwe dzięki temu, że nie ma w Polsce zorganizowanej opinii akcjonariuszy i należytej opieki nad ich interesami. Tę samą ocenę zresztą słyszałem w Belgii, gdzie się uskarżano na wysokość uposażeń polskich członków władz w Spółkach Belgijskich pracujących w Polsce.

Cieszę się bardzo, jeśli się komu dobrze powodzi.

To też jeśli ktoś na śmiałym ryzyku, jak np. przemysł bekonowy w Polsce, lub przemysł dyktowy, dorabia się, to gotów jestem stawiać to jako przykład i bronić przed napaściami.

Gdy jednak deficytowa fabryka, nie amortyzująca, wypłaca swym kierownikom nadmierne uposażenia, to jest objaw bardzo szkodliwy, gdyż pociąga za sobą szereg niezdrowych konsekwencji.

W ostatnich latach byłem świadkiem wielu przykładów solidarności i ofiar wszystkich zainteresowanych w walce o utrzymanie warsztatu. Robotnik, inżynier, właściciel fabryki — zrozumieli, iż wspólnym ich dobrem jest warsztat pracy i poszli na wielkie ofiary byle warsztat utrzymać przy życiu. Jest to najzdrowszy i najcenniejszy objaw.

Lecz widziałem też szereg przedsiębiorstw, gdzie dyrekcja bankrutującego warsztatu pobiera niczym nieuzasadnione wynagrodzenia, powodując słuszne rekryminacje upośledzonych pracowników umysłowych i robotników, pasożytując niejako na nieodnawianym i idącym ku ruinie warsztacie pracy.

Zagadnienia tego nie wolno niedoceniać zwłaszcza w stosunkach polskich.

Przed paru laty, nie pamiętam przy jakiej okazji, miałem dać swym przełożonym krótką charakterystykę listy przedstawicieli życia przemysłowego w Polsce, mających wziąć udział w jednej z narad. Jako kryterium kazano mi zbadać, czy dany przedstawiciel przemysłu jest samodzielnym przemysłowcem, gospodarującym na własnym samodzielnym warsztacie pracy, czy też jest związany z tą czy inną grupą kapitału krajowego lub zagranicznego i administruje cudzym majątkiem i cudzymi pieniędzmi.

Po przejrzeniu listy, o ile sobie przypominam zawierającej około 20 nazwisk, jedynym człowiekiem, reprezentującym własny stan posiadania przemysłowego, był p. Edward Natanson, wszyscy pozostali byli ludźmi, którzy nie ponosili bezpośrednio ryzyka pracy przemysłowej. Był to może zbieg okoliczności, przypadek, niemniej jednak przypadek bardzo charakterystyczny. Stanowi to bardzo wielkie obciążenie naszej sytuacji, brak bowiem zastępu ludzi, którzy mają zdobywczą psychikę przemysłowca zachodniego.

Jeśli bowiem zbadamy większość realizacji przemysłowych w ostatnich dziesiątkach lat, aż do chwili obecnej, to zawsze znajdziemy człowieka, rodzinę, tradycję, która stanowi o trwałości i wielkości dorobku. Krup, Solvay, Ford, Bata, Simens, Philips i tyle innych nazwisk, potwierdzają tę prawdę.

Niestety, Polska nawet w proporcji do naszych warunków, nie wysunęła wielkich organizatorów przemysłu, którzy są warunkiem istotnego postępu gospodarczego. Bowiem adwokaci przemysłu, pośrednicy, nigdzie na świecie nie zbudowali przemysłu.

Ludzie nieśmiali, bojący się o swoje posady, szukający zawsze reasekuracji, nigdzie niczego wielkiego nie dokazali.

To też w tym widzę jeden z istotnych powodów, dlaczego w Polsce nie ma nastroju do podjęcia ryzyka przemysłowego.

Nawet w tej biednej Polsce jest parę dziesiątków ludzi, który w ostatnim dziesięcioleciu rozporządzali lub dorobili się milionów na przemyśle. Starałem się ustalić, jaka część z tych pieniedzy została zainwestowana w przemysł. Niestety, z informacji, które posiadam, wynikało, że jedynie rodzina Steinhagenów stale i konsekwentnie angażowała się w przemysł, jako jedyne i ciekawe ryzyko dla przemysłowca. Pozostali kupowali majątki ziemskie, budowali kamienice, zabezpieczali się w placach budowlanych (niektórzy może i zagranicą), o śmielszej akcji z ich strony — nie słyszałem. Cieszyłbym się, gdybym mógł stwierdzić mylność moich ocen. Jestem bowiem przekonany że gdyby znalazła się grupa młodych, dzielnych ludzi, która by przyszła z realnym programem uprzemysłowienia kraju, z gotowością poniesienia osobistego ryzyka i postawiła nawet warunki trudne — to kraj zareagowałby pozytywnie i **byłaby to skuteczna droga do wyjścia z impasu.**

Bo jeśli, skromnie licząc, jak stwierdziłem powyżej, w 4 ostatnich latach przebudowano w Polsce około miliarda złotych, to przynajmniej połowa pieniędzy zmobilizowanych z środków prywatnych — winna była pójść na maszyny i inwestycje przemysłowe, a nie tak jednostronnie angażować się w inwestycję konsumpcyjną, jaką jest budownictwo mieszkaniowe.

Tymczasem zawiodły tutaj warunki i zawiódł człowiek, pozbawiony cech organizatora - zdobywcy.

Słusznie twierdził w jednym ze swych przemówień p. Premier o nastroju biadolenia w Polsce. W moim zasięgu obserwacji, biadolą najwięcej ci, którym się najlepiej dzieje. Wolałbym, żeby oni byli elementem optymizmu i akcji.

*

Na zakończenie — parę postulatów praktycznych.

1) W Polsce są setki, jeśli nie tysiące, warsztatów przemysłowych średnich, które mają zamówienia, mają urządzenia techniczne do ruszenia produkcji — brak im niewielkiego kapitału obrotowego.

Zdolność ich kredytowa jest słaba, gdyż przeszłość jest nieuregulowana.

Nikt z wierzycieli nie chce przejąć tych warsztatów, chodzi więc o życiowy układ z wszystkimi wierzycielami, zwłaszcza skarbem, ubezpieczalniami, zawarty na zasadzie uproszczonej procedury. Od 4 lat wskazuję na konieczność takiej akcji — nie znalazłem zrozumienia w t. zw. Lewjatanie, koncentrującym wysiłki na obronie cen kartelowych.

Kto zna prowincję — wie, że setki zakładów zaczęłyby pracować opłacalnie i normalnie po zawarciu takiego układu.

2) Z przemysłów surowcowych — węgiel, żelazo i nafta — wymagają konstrukcyjnego, paroletniego planu gospodarczego. Zwłaszcza węgiel, gdzie od lat 16-tu prowadzimy politykę od wypadku do wypadku, opartą o uwzględnienie różnych interesów trzech Zagłębi Węglowych.

W ciągu najbliższych lat, muszą znaleźć się środki na inwestycje i modernizację istniejących warsztatów.

3) W stosunku do przemysłu opartego o kapitał zagraniczny, dążyć należy do układów zabezpieczających niewycofywanie, poza uzasadnioną dywidendą i oprocentowaniem kapitału, gromadzących się środków w tych przedsiębiorstwach, które muszą być zużyte na procesy inwestycyjne w tychże warsztatach pracy.

Aktywna polityka państwa musi skoncentrować się na średnim przemyśle, drobnym i zdrowym rzemiośle. W tej dziedzinie trzeba odważnie stawiać na człowieka i tam wszędzie, gdzie wykaże się on własnym dorobkiem i zdolnością twórczą, znaleźć metody otoczenia go atmosferą istotnej przychylności i pomocy w jego walce o byt i rozszerzenie zakresu pracy.

Atmosfera, zakres pomocy, musi być wszechstronny. Człowiek, posiadający kilkadziesiąt tysięcy złotych, musi dążyć do stworzenia własnego warsztatu, a nie posiadania kamieniczki na Grochowie. — Musi uwierzyć, że na miarę polską — tęgi ślusarz stać się może polskim Fordem.

W polskiej rzeczywistości musi praktycznie być realizowane prawo równego startu życiowego dla wszystkich, a nie tylko dla „uprzywilejowanych", „ustosunkowanych".

Bez odważnej realizacji tej zasady w życiu ustrój, w którym żyjemy, jest pozbawiony źródła swej podstawowej siły, energji twórczej i jest skazany na załamanie.

Ignacy Blauszyld

Reforma regulaminu sejmowego

Artykuł niniejszy opiera się na przekonaniu, że obok i po sprawie wzmocnienia władzy wykonawczej najważniejszą kwestią w dziedzinie ustroju politycznego jest konieczność zreformowania sposobu działania władzy prawodawczej. Praca ustawodawcza, i to praca pilna, jest ogromna: wystarczy wymienić choćby kodeks cywilny. To co dotychczas zrobiono — kodeks karny, procedura cywilna i karna, — było dokonane poza izbami ustawodawczymi w drodze dekretów Prezydenta.

Jako główną przyczynę niezdolności do pracy naszego parlamentu wskazywano przez wiele lat brak trwałej większości. Jednakże od kilku lat sytuacja pod tym względem zmieniła się. Mimo to niezdolność do wydawania ustaw pozostała. Wprawdzie bowiem bez większości praca jest niemożliwa, ale samo istnienie większości jeszcze nie wystarczy. Jest zresztą rzeczą problematyczną, czy do uchwalenia dobrej ustawy potrzeba 500 osób o jednakowym sposobie myślenia, czy raczej nie przyniesie tutaj większej korzyści 3-ch lub 4-ch znawców, jak tego dowodzi skład komisji kodyfikacyjnych najbardziej znanych kodeksów w historii: Justyniana i Napoleona. Z samej bowiem natury rozpraw wśród kilkuset posłów, kilkakrotnego dyskutowania i głosowania nad projektem w komisjach i na plenum wynika powolność, która bynajmniej nie zabezpiecza przed omyłkami. Nie jest to zresztą choroba wyłącznie polska. Cierpią na nią również starsze parlamenty krajów zachodnich o wyższej kulturze politycznej. Powolność i niedokładność w pracy ustawodawczej są to więc niejako organiczne braki parlamentaryzmu.

*

Świadomość tego występowała u nas w chwilach przełomowych z siłą dostateczną, aby się zdobyć na radykalne lekarstwa. Tak więc w lipcu 1920 roku sejm rozjechał się, powierzywszy władzę swoją Radzie Obrony Państwa; w styczniu 1924 roku dla ratowania kraju z kryzysu walutowego uchwalił pełnomocnictwa dla rządu. Odrazu jednak odezwały się sprzeciwy i to ze strony poważnej, profesorów prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Istotnie trudno było uznać pełnomocnictwa za zgodne z konstytucją, gdyż były one wyraźnie sprzeczne z obowiązującą wówczas zasadą podziału władz. A równocześnie są one sprzeczne z celem istnienia sejmu, który po to jest, aby uchwalał prawa, nie zaś zlecał uchwalanie ich komu innemu.

Wprawdzie rządy pomajowe zmieniły art. 44 starej konstytucji właśnie w ten sposób, aby ulegalizować udzielanie pełnomocnictw rządowi przez sejm, co przeszło również do nowej konstytucji. Bez względu jednak na korzyści, jakie stąd wypłynęły w postaci licznych praw, wydanych w drodze rozporządzeń Prezydenta, i nadal stwierdzić trzeba, że sama zasada pełnomocnictw ustawodawczych dla rządu mija się z celem, dla którego powołano sejm do życia. Pozostaje tedy i nadal kwestia, jak tę trudność rozwiązać; pytanie nader aktualne, wobec odbywającej się pracy rewizyjnej nad naszym ustrojem, która jeszcze chyba nie zakończyła się.

*

Poniżej podajemy próbę rozwiązania, zaczerpniętą z historii Polski końca 18-go i początku 19-go wieku. Gdy sejm czteroletni w roku 1791 zabrał się nareszcie do długo omawianego dzieła reformy, pozostał mu już bardzo krótki czas na jego wykonanie przed oczekiwaną obcą interwencją, przy bardzo niedoskonałym systemie obrad. Nie był to już co prawda ów słusznie zresztą osławiony porządek sejmowania z liberum veto. Wbrew bowiem rozpowszechnionemu wśród niehistoryków mniemaniu nie konstytucja 3-go maja zniosła liberum veto, ale uświęciła ona jedynie praktykę, polegającą na interpretacji innych zasad prawnych, dzięki którym wyszło ono zupełnie z użycia.

Przez cały czas panowania Stanisława Augusta — trzydziestolecie, poprzedzające ogłoszenie konstytucji — ani jeden sejm nie był zerwany. Lekarstwo znaleziono w konfederacji. Na wszystkich bowiem sejmach, zwoływanych podczas trwania konfederacji, „pod związkiem konfederacji", a więc z reguły podczas bezkrólewia, obowiązywało głosowanie większością. Czartoryscy, opanowawszy władzę podczas bezkrólewia przed Stanisławem Augustem (1763 — 1764), utrzymali zawiązaną wówczas konfederację i po wyborze króla, dążąc w ten sposób do przekształcenia jej na instytucję stałą. Wprawdzie pod presją Repnina już w 1766 roku musieli ją rozwiązać, jednakże sceny rozpaczy, jakie się przy tym rozegrały, najlepiej malują niechęć do liberum veto, która już ugruntowała się w społeczeństwie.[1]

Sama myśl Czartoryskich przetrwała w zmienionej formie, gdyż odtąd pojawiają się sejmy, które zawiązują się w konfederację po zebraniu się posłów. Tak było przede wszystkim na sejmie czteroletnim[2]). Podkreślić więc należy, że sejm ten nie obradował pod groźbą zerwania. Zwołany był w atmosferze reformy, posiadał większość, głosującą podług pewnego programu, a jednak przez pierwsze dwa lata obrad (1788 — 1790) nie potrafił przeprowadzić przebudowy ustroju. Dopiero ponowne wybory w 1790 roku, napływ nowowybranych posłów, którzy przyłączyli się do starego kompletu, wzmocnił tendencje reformistyczne. I tu,—rzecz charakterystyczna — rozpoczęto od sprawy sposobu sejmowania w toku obrad nad pierwszym z rzędu dużym prawem, traktującym o sejmikach.

Obowiązujący wówczas regulamin, czyli tak zwany — Porządek Seymowania — był uchwalony na sejmie 1768 roku i przewidywał dyskusję i głosowanie nad poszczególnymi częściami, czyli „kategoriami" projektu[3]). Jest to analogia do dzisiejszego głosowania nad poszczególnymi artykułami, uzasadniona przez to, że prawa z tego okresu przeważnie nie były jeszcze układane z podziałem na artykuły. Jak wyglądało takie głosowanie, tego najlepszym dowodem jest konstytucja sejmu czteroletniego, która zniosła ten porządek decydowania „...projektów przez kategorye, przez punkta, przez peryody, przez słowa, jako niedoskonały i szkodliwy porządkowi i pośpiechowi w obradach". Przy takim regulaminie, pisze Kalinka, w „Sejmie Czteroletnim", „obrady nad prawem o sejmikach posuwały się roztropnie, ale bardzo powoli", ...obliczono, że „jeżeli tym trybem dalej postępować będziemy, to... skończymy dyskusję o formie rządu za trzy lata i dwa miesiące"...

„Chcąc położyć kres tej mitrędze, poseł krakowski, Sołtyk, postawił wniosek, aby sejm wybrał osobną deputację, której by powierzył dokończenie projektu sejmowego tak, że co ona uchwali, moc prawną mieć będzie. Poczciwy Małachowski (marszałek izby poselskiej)—pisze król, powiedział mi zaraz: trzeba będzie potężnie o to się łamać. Nie żałowałbym pracy, gdyby to mogło służyć do całej formy rządu"... Wniósł pomimo to projekt Sołtyka (17 lutego 1791 roku), uzupełnił go poseł liwski,

[1]) Korzon: Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta. Wyd. 2-gie. Tom IV., str. 44—46.

[2]) Volumina Legum. T. IX, str. 46.

[3]) Volumina Legum. T. VII, str. 290. Kol. prawa, ust. 2 i 3.

Kiciński, proponując, aby to, co deputacja przyniesie, sejm albo całkowicie odrzucił, albo do poprawy odesłał"... Równocześnie zażądał uchylenia porządku sejmowego, przepisanego przez Repnina w 1768 roku (o którym wyżej była mowa). Przez dwa dni toczyła się o to dyskusja, którą Kiciński w dniu 21 lutego szczęśliwie zakończył: „Nie widzę dla Rzplitej większego niebezpieczeństwa (rzekł on) nie upatruję pewniejszej zguby, jak w zachowaniu tej nieszczęśliwej formy sejmowania, którą nam rok 1768 przepisał.... Póki Moskwa ma pewność, że obrady wasze schodzą na niczem, aż nazbyt jest przekonaną że... wszystko nazad w swe kluby obejmie, a polaków w cięższe jeszcze wtrąci jarzmo."

Ognista mowa Kicińskiego porwała sejm i projekt przeszedł bez dalszych rozpraw. Dokonano wyboru specjalnej deputacji, złożonej z trzech senatorów i 9 posłów. Opracowany przez nią projekt (prawa o sejmikach) dnia 14 marca poddano pod głosowanie. Odesłany do poprawy i poprawiony, dnia 24 marca 1791 roku większością 101 przeciw 64 niepraktykowanym dotąd sposobem przemieniony w prawo[4]).

*

Zacytowane dwie konstytucje stanowią regulamin obrad, który od autorów słusznie moglibyśmy nazwać regulaminem Sołtyka i Kicińskiego. Pomyślany był on pierwotnie jako tymczasowy, jedynie do uchwalenia prawa o sejmikach. Jednakże z uwagi na korzyści, jakie wynikły z niego, w praktyce był stosowany przez sejm czteroletni i w dalszych pracach, uzupełniających konstytucję 3-go Maja, oraz został wprowadzony do prawa o sejmach, które odtąd miało być podstawą organizacji i działalności sejmów polskich. Wyzyskano przy tym istniejącą już deputację konstytucyjną.

Nazwa deputacja lub komisja oznaczała grono osób, wybranych przez sejm z pośród jego członków. Z reguły przy tym przestrzegano, aby w skład jej wchodzili członkowie każdej z izb: poselskiej i senatu, a w drugiej połowie rządów Stanisława Augusta również przestrzegano zasady, aby nie była pominięta żadna z prowincji: Małopolska, Wielkopolska i Litwa. Zadania tych organów sejmowych były najrozmaitsze: przygotowanie projektów, np. projektu reformy rządu[5]), opisana powyżej deputacja miała na celu ułożenie projektu prawa o sejmikach, istniały komisje: edukacyjna, skarbowe i wojskowe; ostatnie miały charakter stały, działały i po rozwiązaniu sejmu.

Między pojęciem deputacji a komisji nie było różnicy. Już od 1588 roku istnieje deputacja konstytucyjna[6]), której zadanie polegało na redagowaniu praw. Podpisy jej członków figurują każdorazowo pod poszczególnymi prawami, lub też raz jeden pod wszystkimi prawami, uchwalonymi przez dany sejm. W roku 1764 wprowadzono przepis, że wszystkie projekty muszą być przed dyskusją na plenum odczytane przed marszałkiem i deputacją konstytucyjną, jednakże, pomimo powtórzenia go w 1768 roku, przepis ten nie był przestrzegany. Natomiast w poszczególnym wypadku sejm czteroletni polecił tej deputacji ułożenie projektu prawa o miastach[6a]).

Według prawa o sejmach, uchwalonego 16 maja 1791 roku w rozwinięciu i uzupełnieniu konstytucji 3-go Maja, wszystkie projekty prawodawcze muszą być zgłoszone do specjalnej deputacji, nazwanej „sejmową", której zadaniem miało być przedyskutowanie ich razem z wnioskodawcą, uzgodnienie z zasadami konstytucji 3-go Maja i podanie ich z własną opinią pod obrady plenarne[7]). Pełna izba zaś mogła albo projekt odrazu odrzucić i wtedy nie mógł być na tym samym sejmie ponownie wniesiony, albo w całości przyjąć, albo też uznać za potrzebne dokonanie w nim poprawek. W tym ostatnim wypadku projekt musiałby wrócić do deputacji, która jedna mogła dokonywać zmian i powtórnie wnieść go na plenum. Powtórzenie tego procederu na tym samym sejmie nie było możliwe[8]).

Przytoczyliśmy tutaj jedynie najważniejsze przepisy z prawa o sejmach, traktujące o sposobie uchwalania praw. Z uwagi na swą drobiazgowość w pełni zasługują one na miano regulaminu. Z samego już opisu widać, że stanowią one połączenie dawnej deputacji konstytucyjnej z uprawnieniami specjalnej komisji, utworzonej w myśl prawa Sołtyka i Kicińskiego, wszystko pod nową nazwą deputacji sejmowej. Wprawdzie samo prawo sejmach nigdy nie obowiązywało jako całość, gdyż konfederacja targowicka uniemożliwiła jego zastosowanie, jednakże ten sam regulamin był stosowany przez sejm czteroletni jako tymczasowy.

*

Na tej samej bowiem sesji 16 maja 1791 r., na której zapadło prawo o sejmach, na wniosek posła krakowskiego, Russockiego, powiększono skład czynnej wówczas deputacji konstytucyjnej i zmieniono jej nazwę na sejmową[9]). Cała praca ustawodawcza w związku z rozwinięciem konstytucji 3-go Maja: uchwalenie praw o sejmie gotowym, sądach sejmowych, straży i komisjach odbyła się za pośrednictwem deputacji konstytucyjno - sejmowej (nazwa autora), która w ten sposób niewątpliwie dobrze zdała egzamin ze swej przydatności[10]).

*

Pojawia się ona ponownie we wskrzeszonym państwie polskim, jakim było Księstwo Warszawskie. Konstytucję Księstwa uważa się powszechnie nie tylko za twór Napoleona, ale i za ścisłe naśladownictwo urządzeń francuskich. Jednakże legendą jest mniemanie, że została napisana na jednym posiedzeniu, a właściwie rzekomo podyktowana przez Napoleona. Jakkolwiek wywarł on silny wpływ na jej powstanie, to jednak była ona przedyskutowana z członkami Komisji Rządzącej, która stanowiła tymczasowy rząd Księstwa Warszawskiego. Jest więc rzeczą zupełnie możliwą, że od nich pochodzą poszczególne artykuły, czy nawet grupy artykułów[11]). Członkami zaś Komisji byli działacze sejmu czteroletniego. Zresztą podobieństwo przepisów staje się argumentem bardzo ważkim, jeżeli nie decydującym.

Izbie poselskiej, sposobowi jej pracy poświęcony jest tytuł VI konstytucji Księstwa (art. 35 — 49). Izba posiada już nie jedną deputację, ale trzy: przychodów skarbowych, prawodawstwa kryminalnego, prawodawstwa cywilnego, wszystkie pod mianem komisyj. Dyskusja szczegółowa odbywa się w komisji, która pracuje razem z odpowiednim ministrem. Na posiedzeniach plenarnych mogli zabierać głos jedynie przedstawiciele rządu i członkowie komisji, po czym poddaje się pod głosowanie projekt prawa, przy czym konstytucja nie mówi wprawdzie wyraźnie, aby głosowanie miało być en bloc, jednakże taka właśnie była praktyka, jak to wykazuje diariusz sejmu 1811 roku[12]). Zresztą marszałkiem sejmu 1811 roku był nie kto inny, tylko Stanisław Sołtyk, jeden z wnioskodawców owego prawa na sejmie czteroletnim.

Sejm czteroletni obradował w permanencji, prawo o sejmach przewidywało obrady w ciągu 70 dni. Konstytucja Księstwa w art. 20 przewiduje już tylko 15 dni. W tak znacznym skróceniu obrad tkwiła po pierwsze przyczyna przepisu, który do dyskusji plenarnej dopuszczał jedynie przedstawicieli rządu i członków komisji, po wtóre zaś niezawodnie przyczyna ustanowienia trzech komisji, zamiast jednej deputacji. Komisje czasów Księstwa składają się wyłącznie z posłów, a to po prostu z tej racji, że senat ówczesny odgrywał w ustawodawstwie niewielką rolę kontrolera i to bez decydującego głosu.

*

W konstytucji Królestwa Kongresowego[13]) utrzymano w pełni i zapisano wyraźnie w art. 99 zasadę, że projekty prawodawcze mogą być zmieniane jedynie przez komisję, a właściwie przez rząd na podstawie uwag komisji sejmowych. Same komisje uległy dalszej reformie: utrzymano je w liczbie trzech, przy czym nazwę komisji przychodów poprawiono na „Komisję do praw skarbowych", komisje prawodawstwa cywilnego i karnego połączono oraz utworzono nową „Komisję do praw organicznych i administracyjnych". Identyczne trzy komisje utworzono w senacie, którego rola w porównaniu z tą, jaką odgrywał za czasów Księstwa, została znacznie rozszerzona. Pozostaje to również w związku z odmiennym stosunkiem izb do siebie za Królestwa i za czasów reformy majowej, kiedy to obydwie izby miały wspólną deputację ze znaczną przewagą posłów w jej składzie.

*

Omawiany regulamin sejmowania ma więc już swoją w Polsce tradycję, wprawdzie nie tak długą i tak znaną, jak gadulstwo sejmowe, ale za to znacznie chlubniejszą. Oprócz wymienionych prac sejmu czteroletniego, pod rządami tego regulaminu sejm 1811 roku uchwalił podatki na wojnę z Rosją w 1812 roku, co stanowiło nadówczas niemały wysiłek, następnie uchwalono prawo hipoteczne w 1818 roku i Kodeks Cywilny Królestwa Polskiego w 1825 roku.

---

[4]) Volumina Legum. T. IX, str. 209 CCxLV; Kalinka — Sejm Czteroletni, wyd. IV. T. II, str. 663—667.

[5]) Volumina Legum. T. IX, str. 107. LXXXIII.

[6]) Volumina Legum. T. II, str. 252.

[6a]) Volumina Legum. T. VII, str. 18. Kol. pr. wiersz 7 od dołu; T. IX, str. 156 CXIV; str. 213 CCLVII; str. 214 CCLXII.

[7]) Volum Legum. T. IX, str. 258 punkt 7, 8 i 10.

[8]) Volum Legum. T. IX, str. 260—261 punkty 4—11.

[9]) Smoleński. Ostatni rok sejmu wielkiego, wyd. II, str. 44. Vol. Leg. T. IX CCLXXV.

[10]) Smoleński. Ostatni rok sejmu wielkiego, rozdział II i IV.

[11]) Handelsman: Trzy konstytucje, wyd. II 1915 r., str. XIII.

[12]) Archiwum Główne w Warszawie. Rękopis 4.12.1.23 (Arch. Król.).

[13]) Handelsman: Trzy konstytucje.

Korzyści tego regulaminu są niewątpliwe: zamiast wielokrotnego głosowania nad poszczególnymi paragrafami, których ogół sejmujących częstokroć nie jest w stanie zrozumieć i nieświadomie wprowadza poprawki, psujące całość ustawy, mamy jedno głosowanie nad całością prawa, którego potrzebę i pożytek jest łatwiej pojąć. Cała zaś robota szczegółowa spada na barki fachowców w komisji, którzy zwykle jedni orgarniają ustawę w jej całokształtcie. Dzięki temu prawo może być lepsze. Ponadto ograniczenie głosowań do jednego uniemożliwia stawianie wniosków o głosowanie li tylko w celach zrobienia obstrukcji, zmusza z natury rzeczy do streszczania się w dyskusji. Dzięki temu praca izb prawodawczych staje się znacznie szybsza.

Nie tylko jednak korzyści są niewątpliwe, ale i sam proces jest bardziej zgodny z logiką ustroju. Racja bowiem istnienia sejmu wymaga, aby uchwalanie praw odbywało się w jego obrębie, raczej przy pomocy komisji, a nie żeby te czynności miały wykonywać inne organy państwa. Sejm jest niezbędny, jako przedstawicielstwo ludności, według obecnych naszych pojęć, jeżeli demokracja nie ma zostać czczym słowem, ale musi spełniać w rzeczywistości pewne funkcje. Ustawodawstwo zaś i budżet tak dalece uchodzą za domenę działalności sejmu (ewentualnie wraz z senatem), że nowa konstytucja, przyznając Prezydentowi prawo do wydawania dekretów, gdy sejm i senat jest otwarty, uzależnia to od uprzedniego upoważnienia, udzielonego przez izby ustawodawcze (art. 55 ust. 1). W ten sposób izby, organ niższy, według nowej konstytucji, wyręczają się i dają zlecenia organowi wyższemu—Prezydentowi. System ten przeniesiono z poprzedniej konstytucji z poprawkami z 1926 roku, ale wtedy stosunek prezydenta do izb był inny. Zresztą sam system był równie nielogiczny, choć z innej przyczyny: sprzeczny z zasadą podziału władz.

Podobnie rzecz się ma z drugim ustępem art. 55 nowej konstytucji, który przewiduje prawo Prezydenta wydawania dekretów, gdy sejm i senat są zamknięte. Nie potrzeba już wówczas upoważnienia, ale zato rodzi się pytanie, poco wogóle wybierać izby ustawodawcze, jeżeli te same ustawy, co one, ma prawo wydawać Prezydent, a zrobi to napewno taniej i prędzej. Dekrety, art. 14 dawnej konstytucji austriackiej, 87 czy 89 konstytucji cesarstwa rosyjskiego — to objawy społeczeństw niedojrzałych do parlamentaryzmu. Ludzie XVIII wieku w Polsce, którzy mieli parlamentaryzm we krwi, umieli znaleźć odpowiednie wyjście.

Obecny okres skłania do szukania nowych dróg. Korzyści, jakie daje przeniesienie punktu ciężkości z plenum do komisji, są tak uderzające, że zostały już poruszone w nauce. Za tak pojętą reformą wypowiedział się dyrektor Archiwum Głównego w Warszawie, Józef Siemieński, w pracy o „Przyszłej Konstytucji", drukowanej w „Nowym Państwie".

Artykuł niniejszy, którego myśl zrodziła się niezależnie od pracy dyrektora Siemieńskiego, stara się wskazać źródła projektowanej reformy, wskazać na to, że w swoim czasie przeszła już ona próbę praktyki, że stanowi nawiązanie do rodzimej tradycji i to najchlubniejszego okresu polskiego prawa politycznego.

Janusz Ostrowski

Fakty ministra Lozorajtisa

W dniu 6 marca na posiedzeniu Sejmu Litewskiego minister Spraw Zagranicznych Litwy p. Stanisław Lozorajtis wygłosił dłuższe, transmitowane przez radio, przemówienie, będące odpowiedzią na dwa oświadczenia naszego ministra Spraw Zagranicznych na temat stosunków polsko-litewskich.

Przypomnijmy sobie pokrótce, co oświadczył pan minister Beck na ten temat. Otóż na komisji senackiej p. minister Beck stwierdził, że trudno mu jest odpowiedzieć na pytanie, jak wyobraża sobie układ stosunków z Litwą, gdyż chodzi tu o państwo, które nie respektuje minimum przyjętych praw i obyczajów. Pan minister stwierdził, że rozmawiał dwukrotnie z ministrem Lozarajtisem i wyłożył mu pogląd polskiego rządu na prawo Narodu Litewskiego do zbudowania własnego Państwa. Stwierdził dalej, że przedstawione p. Lozorajtisowi formuły dawały mu podstawę do sądzenia, iż dalszy ciąg rozmowy powinien się wyrazić w tym, co jest realną i zdrową podstawą do osiągnięcia przyjętych w świecie praw i obyczajów.

W drugim przemówieniu w odpowiedzi p. posłowi Wielhorskiemu, który interpelował w związku z przymusowym zamieszczeniem w polskim dzienniku, wychodzącym w Kownie, artykułów wymierzonych przeciw Polskiemu Narodowi, p. minister Beck stwierdził, że rządowi litewskiemu przedstawione było zasadnicze stanowisko względem Litwy i ściśle określone granice ustepliwości w sprawach rozbieżnych poglądów. Ponieważ nie znalazły one oddźwięku, dla przyczyn nie dających się uzasadnić racją stanu Republiki Litewskiej, rząd polski uznał się zmuszonym cofnąć kredyt zaufania w pokojowe intencje rządu litewskiego, udzielany przez długie lata i swój stosunek do Republiki Litewskiej dostosować do metod postępowania, którymi państwo to kieruje się wobec Polski, układając go w sposób analogiczny, to jest restryktywny. Pan minister Beck oświadczył następnie, że narzucony Polsce stan rzeczy nie zmienia przekonań Rządu polskiego o anormalności tego stanu, ani też nie zmniejsza gotowości do oparcia wzajemnego stosunku Polski i Litwy na zasadach normalnego sąsiedzkiego współżycia.

Otóż na to oświadczenie naszego ministra odpowiadał 6 marca pan minister Stanisław Lozorajtis. I cóż odpowiedział? Dowodził, że minister Beck przemilczał, iż cały problem stosunków polsko-litewskich polega na krzywdzie wyrządzonej Litwie. Pan Lozorajtis nie neguje, że istniejące stosunki między Polską a Litwą są wyjątkowe, ale twierdzi, że spowodowane zostały przez Polskę, bo przepisy prawa nie zostały zastąpione przepisami faktów, dokonanych w 1920 roku.

Pan Lozorajtis dla stwierdzenia, że rząd polski w układaniu stosunków z Litwą powinny obowiązywać jakieś przepisy prawa niewykonane przez zajęcie Wilna, usiłuje dowieść, że bunt wojska, zajmującego Wilno był fikcyjny, gdyż Marszałek Piłsudski oświadczył, że generał działał pod jego kierownictwem.

P. minister Lozorajtis uznał za właściwe usprawiedliwiać negatywny stosunek rządu litewskiego do prób nawiązania z Litwą normalnych stosunków i wyjścia z wyjątkowej i jedynej na świecie sytuacji tym, że rzekomo były jakieś przepisy prawa, które zostały obalone. Oczywiście ma na myśli t. zw. umowę suwalską.

P. minister zna prawo międzynarodowe i wie doskonale, że t. zw. umowy suwalskiej za przepis tego prawa uważać nie można. Wiedział też o tym rząd litewski, skoro nie uznał za właściwe zamieszczenie jej tekstu w swoim Dzienniku Ustaw. Nie był to przecież ani traktat pokojowy, ani rozgraniczenie terytorialne, ani nawet zawieszenie broni, bo to ostatnie następuje zawsze na całym froncie, a artykuł drugi umowy suwalskiej przerwę w działaniach wojennych na wschód od Bastun, to znaczy tam właśnie, skąd ruszył gen. Żeligowski, uzależniał od odejścia oddziałów sowieckich i jakichś przyszłych konwencji.

Gdzież więc było zajęcie terenu Litewskiego Państwa, o którym mówił dalej p. minister, gdzie złamanie prawomocnego, obowiązującego oba państwa dokumentu?

P. minister Lozorajtis przytacza, z braku innych, dokumenty, których autentyczności nie mieliśmy sposobu sprawdzić, ale znając przecież moralne walory p. Lozorajtisa, ani przez chwilę nie wątpimy, że były autentyczne. Jakież to są dokumenty? Depesze rządu polskiego, wysłane do państw Ententy, ubolewające z powodu niesubordynacji oddziałów wojskowych i oświadczenie delegata polskiego, że generał Żeligowski działał jako buntownik.

Trudno przypuścić, aby minister Spraw Zagranicznych Litwy takie dokumenty uważał za podstawę do rewindykowania stanu z przed 9 października 1920 roku, za przepisy, „których nie są w stanie obalić fakty dokonane".

Zajęcie Wilna odbyło się na drodze buntu, to prawda, której absolutnie przytoczenie tych depesz z zestawieniem nawet oświadczenia Marszałka Piłsudskiego, że to odbyło się na jego rozkaz, nie jest w stanie obalić w świetle sądu jakiejkolwiek instancji międzynarodowej, ani w świetle historii.

Nasz Wielki Marszałek do autorstwa tego buntu się przyznał, ale i bez tego przyznania starczyłoby wziąć pierwszy z brzegu numer pism endeckich z tego i późniejszego okresu, ażeby stwierdzić, że był to bunt Józefa Piłsudskiego, bunt w swych zamierzeniach mający wielką, zakrojoną na miarę historyczną, koncepcję, która nie mogła być aprobowana przez ówczesny parlamentarny rząd Wincentego Witosa, przez parlament, z którym Józef Piłsudski, w ówczesnych warunkach konstytucyjnych nie dochodził do porozumienia.

O marszu Żeligowskiego, o jego ustosunkowaniu się do umowy suwalskiej można tylko mówić w płaszczyźnie rozważań historycznej koncepcji, zawierającej daleko idący kompromis i otwierającej przed Państwem Litewskim perspektywy kroczenia śladami historii, a nie drogami sabotażu raz po raz obmyślanego w dwuch stolicach państw, — drogami, tak strasznie przecież ryzykownymi i tak nic nie mającymi wspólnego z głębiej rozumianą litewską racją stanu.

Pan Lozorajtis w dalszym ciągu posługuje się dyplomatyczną dialektyką na temat bardzo prostej sprawy, sprawy minimum fizjologii sąsiedztwa, poruszonej przez ministra Becka.

P. Lozorajtis robi w swej mowie słuszną uwagę, że „życiem ludzi żywych, ich sercem i umysłem rządzą czynniki nie tylko fizjologiczne, lecz również psychologiczne", to znaczy czynniki i rzeczywistość wyższej kategorii moralnej". Ale przez tę uwagę p. Lozorajtis nie tylko merytorycznie nie zaprzecza tezie o konieczności minimum fizjologii w regulowaniu stosunków „granicznych", ale niesłychanie to minimum rozszerza. Takie ujęcie wydaje się wykluczać twierdzenie dalsze, że są powody, które mogą usprawiedliwiać względami prawnymi czy moralnymi odrzucenie uznanych na całym świecie za minimalne warunków sąsiedzkiego bytowania.

P. minister Lozorajtis dyplomatycznie zapewnia, że w polityce jego państwa nie ma elementów, ani intencji, mogących zakłócić pokojową równowagę i twierdzi, że „obcym mężom stanu o projektach innego państwa jest trudno sądzić".

Otóż intencje obcego państwa są osądzone na podstawie obserwacji jego postawy, jego życia, jego umów, zbrojeń, a nawet oświadczeń.

Pewnie, że oświadczenia p. Lozorajtisa brzmią inaczej niż oświadczenie innych litewskich mężów stanu. Ale przecież i tamte mają jakąś wagę, szczególnie wtedy, jeżeli je wypowiada Prezydent Państwa i Wódz Narodu. Pomijając tu nawet wszystko to, co w Polsce się wie o intencjach Litwy, co się wie o kredycie zaufania dawanym sąsiadowi ze Wschodu, tak jak poprzednio sąsiadowi z południowego Zachodu, o tych różnych nielitewskich nawet zbrojeniach, jakie się w Litwie odbywają, pomijając oświadczenia Związku Wyzwolenia Wilna, artykuły i t. d., zestawmy chociażby zapewnienie p. ministra Lozorajtisa o intencjach pokojowych swego kraju z ostatnią mową Prezydenta Smetony na pożegnanie nowokreowanych oficerów w grudniu r. ub. Jakże wtedy będą te zapewnienia o pokojowych intencjach wyglądały?

Pan minister Lozorajtis faktów, które wytwarzają wątpliwości co do pokojowych intencji, zdaje się nawet nie negować, nazywa je „zwykłą arytmetyką oszukanego narodu". Otóż zdaje się, że jeżeli odmawia się Litwie kredytu zaufania w jej pokojowe intencje, to o arytmetykę tę tylko chodzi.

Na zakończenie zestawmy dwa fakty. Interpelacja p. posła Wielhorskiego, na którą odpowiedział p. minister Beck, wywołując replikę p. Lozorajtisa, dotyczyła sprawy niesłychanego ucisku ludności polskiej na Litwie. Przytoczone w niej było konkretne zmuszanie prasy polskiej do zamieszczania artykułów lżących Polskiemu Narodowi.

P. minister Lozorajtis odpowiadając, oświadczył, że Polacy na Litwie korzystają ze wszystkich praw, ustalonych w ustawach. Nikt temu nie przeczył. Właśnie chodzi tu o ustawy, chodzi o ustawy wprowadzające bezprawie, ucisk nieprawdopodobny, niemieszczący się nie tylko w międzynarodowych zobowiązaniach o mniejszości, od których, znowu nie negujemy, rząd litewski się nie odżegnał, ale niemieszczący się w ustawach i działaniach żadnego innego kraju świata.

Czy p. ministrowi Lozorajtisowi trzeba by odpowiedzieć słowami Kmicica, kiedy z ks. Kordeckim rozmawiał o artylerii: „Darujcie, ale na tym się nie znacie", czy też po prostu stwierdzić, że operuje świadomie fałszującymi rzeczywistość sugestiami krasomówstwa, — niech będzie to tajemnicą metod i intencyj Litewskiego Państwa, do których wtrącać się p. Lozorajtis obcym politykom nie zezwala.

Z. Szłapczyński

Geneza mniejszościowej ofenzywy Niemiec

Hitler w przemówieniu, które wygłosił w dniu 30 stycznia b. r., wypowiedział o mniejszościach taki pogląd:

> „Będzie to pożyteczne dla pokoju europejskiego w całości, jeśli, w postępowaniu wobec narodowości, które muszą żyć jako mniejszości wśród obcych narodów, będzie się wzajemnie uwzględniało uprawnione uczucie dumy narodowej i świadomości narodów, gdyż to doprowadzi do głęboko sięgającego odprężenia między państwami, zrządzeniem losu zmuszonymi do istnienia obok siebie, których granice państwowe nie schodzą się z granicami narodowymi".

Ta część przemówienia była niewątpliwie rezultatem oddawna przygotowywanych na odcinku polityki mniejszościowej zamierzeń. Dalsze posunięcia potwierdziły w zupełności te przypuszczenia. Szybkość, z jaką następowały one po sobie, wskazywała na szczegółowe przepracowanie zagadnienia. Tego samego bowiem dnia podpisał kanclerz Hitler dekret, na którego mocy stworzył w Auswärtiges Amt, departament dla spraw obywateli niemieckich zagranicą, a na czele tego departamentu postawił szefa zagranicznej organizacji partii narodowo-socjalistycznej, „Gauleitera" Ernsta Wilhelma Bohle.

Jakkolwiek ustawa ta dotyczy formalnie tylko obywateli niemieckich, to jednak jest oczywistą rzeczą, że moralnie wszyscy Niemcy, bez względu na obywatelstwo, będą zobowiązani do posłuchu wobec kierownika organizacji zagranicznej.

Już z początkiem marca rząd Rzeszy przygotowuje ustawę w sprawie wywłaszczenia „pewnych elementów" w odpowiedzi na ewentualne represje, jakieby rządy państw obcych mogły zastosować wobec obywateli niemieckich. Niezmiernie charakterystyczne jest to przygotowywanie się na ewentualności, które dopiero mają nastąpić w przyszłości.

Wreszcie cykl przemówień senackich senatora Wiesnera i Hasbacha, o których pisał pewien odłam prasy niemieckiej w Polsce, że były napisane nie na ziemi polskiej i mają na celu propagandę narodowego socjalizmu, a nie obronę mniejszości niemieckiej — są jednym z dalszych ogniw w łańcuchu przygotowań do nowej polityki mniejszościowej. Równocześnie, jak na sygnał różdżki czarodziejskiej, tenor przemówień dwu senatorów podchwytuje i umacnia cała prasa niemiecka.

Dnia 11.III w sztandarowym piśmie NSDAP — „Völkischer Beobachter" pojawia się artykuł z charakterystycznym tytułem „Bilans strat", nawiązujący do przemówień senatorów Hasbacha i Wiesnera, 12.III. w „Frankfurter Zeitung" artykuł „Niemcy w Polsce" utrzymany w tym samym duchu, po czym już cała prasa niemiecka uderzyła na alarm z powodu „niedoli Niemców w Polsce". Zwróciło to nawet uwagę prasy zagranicznej, która zauważyła, że Polska po raz pierwszy od chwili zawarcia paktu nieagresji z Niemcami, stała się przedmiotem tak gwałtownego ataku — na razie tylko prasy niemieckiej.

Niebawem jednak w związku z niedalekim terminem upływu Konwencji Genewskiej wygłosił przemówienie nadprezydent regencji śląskiej, Wagner, który oświadczył, co następuje:

> „Z uwagi na małe znaczenie ruchu polskiego na niemieckim Górnym Śląsku i jego stałe naturalne cofanie się, patrzyłem dotychczas przez palce na niejedno, co by mnie mogło zmusić do wkroczenia. Na przyszłość sposób mojego postępowania przystosuję do tego, jak w innych państwach traktowani będą Niemcy".

Zastanawiamy się, co mogło spowodować nagłą kampanię. Trudno przypuszczać, by Niemcy sami wierzyli w to, co piszą, iż kampania antypolska jest wyrazem protestu na odebranie praw państwowych dwu gimnazjom niemieckim, które nie stosowały się do obowiązujących przepisów, oraz odpowiedzią na plan parcelacyjny, wykonywany w ramach reformy rolnej, która dotknęła w odpowiednim stosunku Niemców, dlatego tylko, że w pewnych kategoriach własności posiadają oni w twych rękach do 80% obszaru, podlegającego przymusowej parcelacji.

Niewątpliwie istotne źródła akcji niemieckiej są inne. Tendencje rozwojowe mniejszości niemieckiej w Polsce wskazywałyby, że ludność ta pragnie uzyskać nowe gwarancje uprawnień politycznych, jak

również gwarancje utrzymania sztucznie wytworzonego i wysoce nienaturalnego stanu uprzywilejowania w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej. Ponieważ zresztą dotychczasowy wysoki poziom życia Niemców w Polsce był w dużej mierze nie do utrzymania bez stałej i wydatnej pomocy finansowej, której III Rzesza w dotychczasowych rozmiarach nie może już dostarczyć, trzeba było przystąpić do zorganizowania pomocy politycznej i uzyskania w innej drodze szczególnych przywilejów.

Dlatego też po uprzednim przygotowaniu szeregu ustaw, których antypolski charakter zdaje się nie pozostawiać żadnych wątpliwości, po kolei naciska się różne guziki, by uzyskać zamierzony efekt, to jest wytargowanie dla ludności niemieckiej w Polsce wyraźnych i daleko idących przywilejów gospodarczych i kulturalnych. Może to mieć na celu również i uczynienie, ze sprawy mniejszości na użytek wewnętrzny takiego przesłaniającego sprawy wewnętrzne konika, jakim była w pewnych okresach kwestia żydowska, komunizm, kwestia kościoła katolickiego, sprawa odzyskania kolonij. Metoda ta dotychczas dawała dobre rezultaty, wymaga ona jednak co raz to nowych podniet, a tym samym i co raz nowych tematów.

Na dnie dzisiejszej gwałtownej ofensywy niemieckiej w sprawach mniejszości niemieckich w ogólności, w sprawach mniejszości niemieckiej w Polsce w szczególe, mogą również kryć się i tego rodzaju momenty. Świadomość tego faktu nie jest bez znaczenia. Powinna ona być w społeczeństwie polskim czynnikiem zachowania wewnętrznego spokoju wobec dochodzącego od pewnego czasu z poza zachodniej naszej granicy huraganowego ognia wznowionej dla pozornie niewytłumaczonych celów antypolskiej propagandy prasy niemieckiej.

J. R.

Zaostrzenie się antagonizmu wyznaniowego na Słowacji

Wśród szeregu problemów, kwestii i zagadnień współczesnego życia Słowacji jest jedno, które nadaje temu życiu specyficzne, a dla nas w tym aspekcie niezrozumiałe piętno. Jest to antagonizm wyznaniowy, antagonizm katolicko - ewangelicki.

Według urzędowej statystyki na Słowacji było w roku 1930 78,03% katolików, a 12,02% ewangelików. Liczba więc ewangelików stosunkowo niewielka. Wszakże żywioł ewangelicki odegrał w odrodzeniu Słowacji niepoślednią rolę. Ewangelikiem był Sztur, ewangelikami działacze w 1848 r. Hodża (sen.) i Hurban. Ewangelikami byli najwięksi pisarze i poeci Hwiezdosław i Vajansky, i cała gromada mniejszych działaczy, publicystów, poetów (Chalupka, Kukuczin, Pauliny-Tóth, Kuzmany, bracia Mudroniowie, Francisci etc.). Oczywiście obok tego byli i wybitni katolicy, ale *stosunkowo* udział ewangelicki wypadł b. silnie.

Pewien antagonizm między wyznaniami istniał zawsze i wyrażał się w odrębności akcji. Ułożone przez Bemolaka pierwsze prawidła języka literackiego słowackiego (z końca XVIII w.), wzięte z narzecza trnawskiego, stosowane były przez katolików, i zastąpione zostały w latach 40-tych przez — ułożone pod auspicjami ewangelików — nowe prawidła, wzięte z obszarów raczej ewangelickich, środkowej Słowacji. Był to słynny bój „bernolakowców" ze „szturowcami", zakończony zwycięstwem drugich.

„Matica Slowacka" (w latach 60-tych) połączyła w swych szeregach obydwa wyznania, a skład naczelnych jej władz z biskupem Moyzesem i pastorem Kuzmanym symbolizował tę zgodę wyznaniową. Atoli w latach ucisku znów odrębnymi drogami potoczyły się losy obydwu wyznań. Grupy katolickie skupiały się pierw w szeregach Węgierskiej Partii Ludowej, potem wystąpiły odrębnie jako Słowacka Partia Ludowa (Hlinka), natomiast ewangelicy wytworzyli swoje ognisko ideowe, skupione dookoła wychodzącego w Skalicy czasopisma „Hlas" i byli pod silnymi wpływami „realizmu" czeskiego, a specjalnie Masaryka. „Hlasizm" który skupiał i katolików (jak Szrobar), ale w którym ton nadawali ewangelicy, był ogniskiem ideowym, z którego wyrosły późniejsze słowackie kierunki tak agrarne jak i socjalistyczne.

Antagonizm katolików i protestantów, który po wojnie kilkakrotnie się objawiał w najrozmaitszych postaciach i chwilowo został w r. 1932 załagodzony przez sojusz partii ks. Hlinki z grupą „narodniarów" pastora Razusa, znów rozgorzał w ostatnich tygodniach. W naczelnym dzienniku stronnictwa ks. Hlinki „Slovaku" w numerze z 21 lutego umieścił dr. Sihotsky artykuł p. t. „Uskalie na ceste dorozumienia Cechov i Slovakov", w którym wspominając i o tym, że „materialistycznie założony protestantyzm" toruje na Słowacji drogę ateizmowi, zarzucił ewangelikom zawładnięcie wszystkich najwyższych funkcji i urzędów słowackich, co stoi w sprzeczności z demokratyczną zasadą sprawiedliwości. A więc jedyni dwaj ministrowie (Hodża i Derer) są ewangelikami; ewangelicy rej wodzą w partii agrarnej, socjalistycznej, narodowo - socjalistycznej, przemysłowej i komunistycznej. Ewangelikami są obydwaj prezesi dyrekcji kolejowych: w Bratysławie inż. Viest, w Koszycach inż. Slavik. Ewangelikami są i dyrektor policji w Bratislavie (Stefanik) i przewodniczący Rady Rolniczej na Słowacji (Bella) i prezydent Sądu Najwyższego (Fajnor) i posłowie za granicą narodowości słowackiej. Nawet w Bratislawie, gdzie ewangelików jest zaledwie 11% burmistrzem jest protestant dr. Krno. To samo w instytucjach półpaństwowych. Prezesem Związku Instytucji Kredytowych jest dr. Kallay, ewangelik, prezesem Slovenskej Banky też ewangelik Makowicky, prezesem Związku Kas Rolniczych ewangelik Ursiny, prezesem Izby handlowo - przemysłowej ewangelik Żuffa. Na czele Towarzystwa Zbożowego stoi ewangelik Ivanka. Tak samo w „Dunajplavbie" etc.

Artykuł ten wywołał gwałtowne sprzeciwy na łamach prasy zbliżonej do ewangelików. Zakwestionowano z tej strony przede wszystkim samo podejście do tego zagadnienia, t. j. rzekomą konieczność zachowania przy podziale stanowisk tego stosunku liczbowego, jaki w kraju zachodzi między obydwu wyznaniami. „Narodnie Noviny" organ grupy pastora Razusa, stanęły na stanowisku, że jedynym kryterium może być kryterium wartości danej jednostki, a wyznanie nie powinno tu grać żadnej roli. Jeżeli zaś ewangelicy osiągnęli tak wysokie stanowiska to tylko dzięki temu, że choć ich mało, umieli jednak wygrać względami „jakościowymi". I tu następowało nieodłączne na Słowacji z okazji wszystkich polemik „międzywyznaniowych" wyliczanie wszystkich zasług, jakie ci ludzie zdobyli dla Słowacji w czasach przedwojennych, połączone z aluzjami do wyższości kulturalnej żywiołu ewangelickiego, czego dowodem ma być stwierdzany i przez cudzoziemców dużo lepszy wygląd wsi protestanckich od katolickich.

Polemika ta zadrażniła już i tak coraz słabsze stosunki autonomistów katolickich (Hlinka) z ewangelickimi (Razus). Aby częściowo załagodzić tę polemikę dr. Sihotsky ogłosił w numerze „Slovaka" z 6 marca nowy artykuł p. t. „Nepotizmus", w którym uzasadniał tezę, że mu nie chodziło o ogół ewangelików jako takich, ale o kilka rodów ewangelickich (Slavikowie, Ursinyowie, Paulinyowie), które wzięły jakby w arendę całe życie słowackie, rozdzielając urzędy, stanowiska, członkostwa Rad Nadzorczych, prezesury towarzystw i t. d., na niekorzyść właśnie szarej masy protestanckiej.

Wyjaśnienie to częściowo polemikę złagodziło. Ale stosunki partii ks. Hlinki z ugrupowaniami Razusa rwące się już od wyborów 1935 r. są coraz chłodniejsze. Chwiejna i blada polityka narodowców ewangelickich pastora Razusa nie może się jakoś uzgodnić ze stanowczością i bezkompromisowością „hlinkowców". Z drugiej strony trzeba zrozumieć, że Czesi niechętnie patrzyli na blok autonomiczny katolicko - ewangelicki z 1932 r. i umieli wykorzystać tkwiące w szeregach ewangelickich silne sympatie czechofilskie i centralistyczne. Ta grawitacja żywiołów ewangelickich ku Czechom to jest istotne podłoże obecnego zaognienia tego osobliwego antagonizmu wyznaniowego.

Na marginesie

Przed dwoma tygodniami, pisząc m. in. o Kongresie Związku Związków Zawodowych, wyraziliśmy obawę, że sytuacja, jaka się wytworzyła w dniu 7 marca r. b., może w konsekwencji prowadzić do utrwalenia się w naszym życiu polityczno-społecznym nowej linii podziału.

Wypadki poszły szybko. Sądząc z tonu coraz ostrzejszych polemik, linia ta zaczyna się zarysowywać jako przechodząca po przez samą organizację Związku Związków.

Nie chcemy szukać odpowiedzi na pytanie, czy było to nieuniknione. Nawiązując jednak do artykułu „Głosu Powszechnego" z dnia 23 marca r. b. p. t. „Akcesoria i akcesy", pragniemy zaznaczyć, że — naszym zdaniem — akcesoria mogą być uważane za rzecz drugorzędną tylko tak długo, póki nie przesłaniają obrazu. Z chwilą, gdy zaczynają przesłaniać — stają się sprawą pierwszorzędną. W danym wypadku ma to bodajże znaczenie najistotniejsze.

Jak się potoczą dalsze wypadki? Nie chcemy przewidywać. Zdaje nam się jednak, że byłoby rzeczą bardzo ważną, by były one posłuszne ludzkiej logice, nie zaś same narzucały własną logikę ludziom i ich działaniom.

ZAGADNIENIA

Przestępczość w Polsce a reforma prawa karnego

Według najnowszych danych, opracowanych przez Główny Urząd Statystyczny na podstawie zameldowań policji niektórych przestępstw, w roku 1936 zanotowano w Polsce: 5.616 wypadków oporu władzy, 5.670 wypadków nawoływania do przestępstwa, 1.479 wypadków świadomego puszczania w obieg fałszywych pieniędzy, 6.002 fałszerstw, 2.719 podpaleń, 1830 zabójstw, 1.718 wypadków usiłowania zabójstwa, 19.531 ciężkich uszkodzeń ciała, 888 dzieciobójstw, 1.952 wypadków rozboju, 478.000 kradzieży, 7.951 wypadków paserstwa i 27.169 oszustw. W porównaniu do roku 1935 wzrosła liczba fałszerstw, zabójstw, usiłowań zabójstwa, rozbojów i kradzieży.

W świetle tych cyfr wysuwa się coraz wyraźniej sprawa reformy prawa karnego, gdyż bezskuteczność obecnej walki z przestępstwem, którą ilustrują przytoczone cyfry, logicznie ten problem wysuwa. Projekty reform obejmują nie tylko ustrój sądów (np. zniesienie sądów przysięgłych), kodeks postępowania karnego, lecz także prawo karne materialne.

Co do zniesienia sądów przysięgłych, istniejących jedynie w b. zaborze austriackim, uzasadnienie projektu rządowego o zniesieniu sądów przysięgłych oparło się na teoriach uczonego włoskiego Garofalo i Mogilnickim. Sądy przysięgłych są tematem długich sporów w prawie karnym, więc nawet tezy wymienionych uczonych nie rozstrzygną ostatecznie tego zagadnienia. W położeniu Polski względy unifikacji prawodawczej nakazywały albo rozciągnąć instytucję sądów przysięgłych na cały obszar państwa, albo znieść je na terenie Małopolski. Względy ekonomiczne przemawiały za tym drugim rozwiązaniem. Ze zniesieniem sądów przysięgłych wiąże się kwestia wysokiego poziomu rozpraw sądowych i odpowiednich sędziów, aby zniesienie sądów przysięgłych nie przyniosło szkody wymiarowi sprawiedliwości. Do kwestji tej powrócimy przy zakończeniu.

Co do prawa karnego materialnego, dyskusja publiczna rozpoczęła się od czasu, gdy Związek Zrzeszeń Młodych Prawników zdecydowanie wysunął reformę art. 54 kodeksu karnego. Jest to podstawowy artykuł, na którym opiera się cały kodeks karny. Brzmienie jego jest następujące: „Sąd wymierzy karę według uznania, zwracając uwagę przede wszystkim na pobudki oraz sposób działania sprawcy, jego stosunek do pokrzywdzonego, na stopień rozwoju umysłowego i charakter sprawcy, na jego dotychczasowe życie, tudzież na jego zachowanie się po spełnieniu przestępstwa". Jest to przepis liberalny, indywidualizujący każdy wypadek przestępstwa i nakazujący sądzić człowieka, a nie przestępstwo.

„Młodzi Prawnicy" oparli się na założeniu, że przedmiotem zainteresowania sędziego powinno być przestępstwo a nie człowiek, zaś treścią kary powinna być jedynie ochrona społeczna, przy czym charakter tej kary wyraża się w zdaniu: „Dobry sędzia jest ten, który wymierza surowe kary dla unieszkodliwienia przestępcy i odstraszenia innych." Oparcie się na tych założeniach doprowadziłoby do zmiany art. 54 k.k. (ust. 1), wykluczałoby stosowanie obecnych środków karnych i wymagałoby nowego systemu wykonywania kary pozbawienia wolności (ust. 2).

Koncepcje powyższe zostały ostro skrytykowane przez prof. Makarewicza, który uważa te projekty za cofanie się do średniowiecza, w którym już Hugo Grocjusz (1625) sformułował teorię przestępstwa, jako przedmiotu zainteresowania sędziego, a Carpsow (Practicum nova rerum criminalium w. XVII) zasadę surowych kar. Jest to rażąca dysproporcja z ewolucją prawa karnego na zachodzie Europy, które idzie w kierunku jak największego przerobienia psychicznego przestępcy, co oczywiście wymaga odpowiedniego systemu środków karnych. Zło widzi prof. Makarewicz nie w prawie karnym, lecz w niewykonywaniu ustaw, a mianowicie w niewprowadzeniu w życie przewidzianych w naszym kodeksie środków zabezpieczających. Zakłady dla niepoprawnych, częściowo anormalnych, alkoholików, dla czujących wstręt do pracy i t. p. albo nie istnieją, albo też nie są rozbudowane w dostatecznym zakresie. Te zaniedbania administracji sprawiedliwości, których jednym z powodów jest położenie ekonomiczne, przyczyniły się do zwichnięcia ideologii kryminalno - politycznej obecnego kodeksu karnego. Rozważając jednak głębiej sprawę oszczędności, dochodzimy do wniosku, że kilkakrotne osądzanie danego osobnika na krótkoterminowe kary pozbawienia wolności będzie kosztowniejsze od długoterminowego pobytu w zakładzie zabezpieczającym lub domie pracy. W tym drugim wypadku będą co prawda większe koszty utrzymania, lecz kilkakrotne osądzanie w wypadku pierwszym powoduje o wiele większe koszty administracyjne (przewód sądowy), a ponadto przy tym systemie zmniejszyłaby się liczba osobników odsiadujących więzienie, a tym samym koszty utrzymania więzień.

Wywody prof. Makarewicza są niewątpliwie słuszne. Młodzi Prawnicy wyszli również z założenia ochrony społeczeństwa, nie ocenili jednak należycie rzeczywistości, wskutek czego dążyli przede wszystkim do zmian teoretycznych prawa, ustawodawstwa karnego, przy czym pewien wpływ wywarła niewątpliwie ideologia prawa karnego w Niemczech. Jednak między ustawodawstwem a wykonywaniem niektórych jego postanowień istnieje duża dysproporcja, z których jedną wyżej przedstawiono. W pewnej mierze ponosi tu odpowiedzialność administracja sprawiedliwości, która obciążona tradycją szablonu, jako problem najważniejszy traktuje więziennictwo, pomijając wprowadzenie w życie i rozbudowanie środków zabezpieczających, przewidzianych w kodeksie karnym.

Nie kwestionując możliwości dalszego rozwoju teorii prawa karnego i wynikających stąd zmian, nie można jednak obciążać obecnej ideologii k. k., gdy ona w praktyce nie została jeszcze całkowicie wprowadzona w życie. Jest to ważne wtedy, gdy porównamy obecną ideologię prawa karnego z teorią unieszkodliwienia i odstraszania, która była długo stosowana w praktyce i odpowiednich rezultatów nie dała. Z zagadnień postępowania karnego wobec szerokiego zastosowania instytucji sądów jednostkowych, co podkreśla jeszcze zniesienie sądów przysięgłych, wysuwa się kwestia sumienności i dokładności w postępowaniu karnym. Z jednej strony jest to ważne ze względów ekonomicznych, gdyż dobrze przeprowadzona rozprawa w I-ej instancji zmniejsza możliwość apelacji i związane z apelacją wydatki, z drugiej strony gwarantuje dobry wymiar prawa. Z tym zagadnieniem wiąże się ściśle kwestia objęcia stanowisk sędziów I-ej instancji przez sędziów o szerokich horyzontach, niezawisłości, wielkim doświadczeniu życiowym i prawniczym. Tylko tacy ludzie zrealizują postulat dobrej i sumiennej rozprawy karnej, co jak podkreśliliśmy jest ważne zwłaszcza w I-ej instancji, gdzie rozprawa ta jest najwartościowsza. Dlatego też należałoby się zastanowić, czy nie obsadzić tych stanowisk sędziami wyższych instancji.

Projektowana przez rząd nowela do k. p. k. bardzo silnie podkreśla moment „poczucia prawnego społeczeństwa". Objawia się to w możliwości aresztowania podejrzanego o popełnienie przestępstwa w śledztwie lub dochodzeniu z powodu „obrazy poczucia prawnego społeczeństwa". Jest to poważne zagrożenie wolności ludzkiej, gdy zważymy, że przepis przytoczony jest bardzo elastyczny.

Zasadniczą zmianę stanowi „reformatio in peius". Dotychczas przy założeniu apelacji przez oskarżonego lub obronę sąd nie miał prawa podwyższyć kary, obecnie sąd będzie ją mógł podwyższyć. Zasada ta zbliża obecnie sądownictwo do ustroju sądownictwa w średniowieczu, gdyż oskarżenie przesuwa się niejako do prerogatyw sędziego wyrokującego w II-ej instancji (sąd inkwizycyjny). Jest to do pewnego stopnia przejęcie przez sąd funkcji oskarżyciela publicznego i zachwianie tym samym równowagi między wymiarem sprawiedliwości a interesem oskarżenia publicznego.

Wyżej poruszone zagadnienia z prawa karnego są jedynie refleksem dyskusji, które na ten temat rozgorzały. Są one wypływem krytycznej oceny z punktu widzenia prawa karnego obecnego stanu rzeczy. Jednak sedno zagadnień spoczywa na innej platformie, poza ustawodawstwem i teorią. Wychowanie dobrego zespołu sędziów, urzędników więziennych, stworzenie odpowiednich zakładów zabezpieczających i zastosowanie innych środków przyczyni się do podniesienia poziomu moralnego społeczeństwa, co jest najlepszym środkiem do powstrzymania wzrostu przestępczości.

Jan Mokrzycki.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Niemcy wobec rokowań o pakt zachodni

(z. d.) Zakończenie obrad nad wprowadzeniem kontroli nieinterwencji w sprawy Hiszpanii było poważnym odciążeniem dla dyplomacji zachodnio - europejskiej. Panowie na Quai d'Orsay, Downing Street, Wilhelmstrasse i w pałacu Chigi zyskują chwilę — (czy aby długą?) — wolnego czasu. Skorzystały z niej pierwsze dyplomacje niemiecka i włoska. Oba ministerstwa spraw zagranicznych złożyły 12 marca ambasadorom angielskim obszerne odpowiedzi na notę rządu brytyjskiego w sprawie nowego paktu zachodniego, wysłaną do Berlina i Rzymu 19 listopada ubiegłego roku.

Teksty not włoskiej i niemieckiej nie zostały ogłoszone. Niemniej, wiadomo już z dużą dozą pewności, że stanowisko rządów Niemiec i Włoch odnośnie ewentualnego nowego paktu zachodniego — stanowisko, uzgodnione w myśl decyzji o „współdziałaniu bez sojuszu" — streszcza się w trzech następujących punktach:

Punkt pierwszy: pakt zachodni powinien być nowym, możliwie najmniej zmienionym wydaniem paktu lokarneńskiego; Niemcy i Włochy życzą więc sobie zawarcia Locarno Nr. 2.

Trzeba przypomnieć ideę i zasady paktu z roku 1925. Ideą paktu lokarneńskiego było w i e c z y s t e w y r z e c z e n i e s i ę w o j n y przez państwa reńskie, Francję, Niemcy i Belgię. Przepisy paktu reńskiego zawierały w szczegółach: a) gwarancję terytorialnego *status quo* granic francusko - niemieckiej i belgijsko-niemieckiej, ustalonych przez traktat wersalski, b) gwarancję zachowania przepisów art. 42 i 43 traktatu wersalskiego o demilitaryzacji Nadrenii niemieckiej, c) obowiązek nieagresji dla Francji i Niemiec oraz Belgii i Niemiec; państwa te zobowiązały się wzajemnie nie rozpoczynać wojny w żadnym wypadku, za wyjątkiem: obrony koniecznej — t. zn. w razie, gdyby któreś z tych państw pogwałciło przepisy traktatu i dokonało agresji, oraz w razie konieczności wszczęcia działań wojennych w wykonaniu postanowień paktu Ligi Narodów, d) obowiązek pokojowego załatwiania ewentualnych zatargów, ustalony w umowach arbitrażowych niemiecko - francuskiej i niemiecko - belgijskiej, e) obowiązek niesienia pomocy Francji, Belgii lub Niemcom w razie napaści ze strony państwa reńskiego oraz obowiązek

działań militarnych w razie zajęcia przez Niemcy strefy zdemilitaryzowanej w Nadrenii niemieckiej. W pakcie tym, zawartym między Francją, Niemcami, Belgią, Anglią i Włochami, dwa ostatnie mocarstwa figurowały wyłącznie w roli gwarantów, to znaczy miały tylko obowiązek niesienia pomocy Francji, Belgii lub Niemcom.

Pragnąc zawrzeć Locarno Nr. 2 Niemcy i Włochy odrzucają konsekwentnie wszelkie propozycje rozbicia nowego paktu zachodniego na dwa pakty „trójkątne": Paryż — Londyn — Berlin i Paryż — Rzym — Berlin, oraz sugestie, aby Anglia była w nowym pakcie zachodnim nie tylko gwarantką, ale i państwem gwarantowanym, m. in. przez Niemcy. Jeśli zaś chodzi o Nadrenię niemiecką, to oczywiście pozostałaby ona nadal zremilitaryzowaną w następstwie „faktu dokonanego z 7 marca 1936".

Punkt drugi: Niemcy i Włochy godzą się na nową rolę „lokarneńską" Belgii.

Belgia, gwarantowana dotychczas przez cztery pozostałe państwa lokarneńskie, była równocześnie gwarantem nienaruszalności granicy francusko - niemieckiej. Dziś sytuacja zmienia się przez to, że Belgia — w myśl deklaracji króla Leopolda z 14 października ub. r. — nie chce brać na siebie żadnych zobowiązań niesienia pomocy. Jeśli więc nowy pakt zachodni miałby — jak tego życzą sobie Niemcy i Włochy — być Locarno Nr. 2 dostosowanym do nowych warunków, to cel jego byłby w zasadzie taki: Francja i Niemcy uznałyby wersalskie *status quo* granic francusko-niemieckiej i belgijsko - niemieckiej, wyrzekłyby się po wieczne czasy wojny; Anglia i Włochy stałyby na straży tej umowy, niosąc pomoc Francji w razie niesprowokowanej napaści ze strony Niemiec, a Niemcom w razie napaści ze strony Francji; wszystkie te cztery mocarstwa zobowiązałyby się spieszyć z pomocą Belgii w razie, gdyby uległa napaści niesprowokowanej; wzamian za to Belgia zobowiązałaby się do niepopierania wojskowego żadnego z gwarantów w razie konfliktu.

Punkt trzeci stanowiska włosko-niemieckiego odnosi się do wyjątków od zasady wieczystego wyrzeczenia się wojny między Francją a Niemcami.

Szkopułem jest pomoc, jaką Francja musi dawać przeciwko Niemcom sojusznikom na Wschodzie: Polsce, Rosji i Czechosłowacji. Należy tu przypomnieć, że równocześnie z zawarciem paktu reńskiego podpisano w Locarno 16 października 1925 pakty gwarancyjne Francji z Polską i Francji z Czechosłowacją o niesieniu sobie pomocy w razie napaści niesprowokowanej. Umowy te związane były z paktem reńskim dlatego, że działanie ich uzależnione było od decyzji Ligi Narodów, a tym samym pomoc niesiona w wykonaniu tych umów byłaby akcją ligową, przewidzianą jako wyjątek od zasady wyrzeczenia się wojny, zawartej w pakcie reńskim. Pomoc Francji dla jej wschodnich sojuszników — Polski i Czechosłowacji — była więc uzależniona od decyzji Ligi, a tym samym była niepewna. Niemniej umowy te osłabiały wydatnie znaczenie paktu reńskiego jako instrumentu politycznego, który w zasadzie — obmyślonej przez Anglię (wówczas Polsce niechętną) i Niemcy — miał ułatwić Niemcom rewizję granic wschodnich.

Dziś sens taki chcą nadać nowemu Locarno tylko Niemcy, sekundowane ze względów ogólnych przez Włochy. Uzgodnione stanowisko obu mocarstw odnośnie „wyjątków" można wysnuć z półurzędowych lub widocznie inspirowanych komentarzy prasowych. Tak naprzykład redaktor naczelny *Frankfurter Zeitung* Kircher pisał 11 marca, że „zagadnienie wyjątków dałoby się rozwiązać znacznie łatwiej, gdyby trzeba było liczyć się tylko z postanowieniami sankcyjnymi Ligi Narodów. Niemcy nie mają z pewnością zamiaru powstrzymywać innych państw od ich zobowiązań ligowych, jakkolwiek rząd Rzeszy nie nosi się z myślą brania udziału w genewskim systemie sankcyjnym, którego niebezpieczeństwo i bezskuteczność zostały dowiedzione. Daleko większa trudność wynika w każdym razie z tego, że dla polityki francuskiej najważniejszym wyjątkiem zdaje się być automatyczna pomoc, ustalona w jej zobowiązaniach wschodnich. Uznanie takiej automatyki i wprowadzenie jej do nowej umowy wytworzyłoby odrazu nieznośną ciemność również i w stosunkach zachodnio - europejskich i dlatego — jak i z innych względów — nie nadaje się to wogóle do dyskusji. Bezpieczeństwo, wynikające z ew. paktu zachodniego (paktu wyrzeczenia się wojny!) nie mogłoby być powierzone uznaniu jakiegoś jednego mocarstwa lub jakiegoś gremium, nie odpowiadającego prawdziwemu duchowi paktu zachodniego."

Zawarte tu tezy wymagają głębszej analizy, gdyż wydają się być wiernym odbiciem poglądów Wilhelmstrasse, a kryją w sobie treść dla Polski nadzwyczaj doniosłą. Łaskawa zgoda Niemiec na to, że Francja może zaatakować Niemcy, mimo paktu wyrzeczenia się wojny, w razie uchwalenia przez Ligę sankcji militarnych jest dla nas elementem bezpieczeństwa o znaczeniu znikomym. Natomiast — w sensie n i e b e z p i e c z e ń s t w a — zasadniczą wagę ma dla nas twierdzenie, że uznanie automatyzmu pomocy wojskowej ze strony Francji dla jej sojuszników wschodnich, jako wyjątku od zasady wyrzeczenia się wojny między Francją a Niemcami, byłoby dla Niemiec niemożliwe. W dzisiejszych warunkach militarnych, kiedy napastnik będzie się starał osiągnąć zdecydowaną przewagę dzięki sile pierwszego uderzenia, pomoc sojusznika, odciągająca siły wroga na inny front, straciłaby większą część swej wartości, o ile nie byłaby n a t y c h m i a s t o w a. Jeśli więc Niemcy wykluczają ten automatyzm pomocy z wyjątków ewentualnego zachodniego paktu wyrzeczenia się wojny, to tym samym dążą de facto do postawienia Francji przed alternatywą: albo pakt zachodni, albo sojusze na europejskim Wschodzie. I trzeba dodać, że są tylko wprowadzeniem w błąd społeczeństwa polskiego wiadomości, lansowane przez pewne polskie organy prasowe, że Niemcy nic nie mają przeciwko sojuszowi polsko - francuskiemu. Jest to zupełna nieprawda. Niemcy przeciwstawiają się łączeniu z paktem zachodnim paktu polsko -francuskiego tak samo, jak i francusko-sowieckiego i francusko - czechosłowackiego. Pan Kircher pisał wprawdzie we *Frankfurter Zeitung* (13 marca), że „choć polityka Rzeszy przeciwstawia się tak bardzo tym francusko-wschodnim układom o charakterze przymierzy, które, zdaniem Rzeszy, sprzeczne są nawet z duchem paktu Ligi — to w ż a d n y m momencie Rzesza nie żądała f o r m a l n e g o i c h u n i c e s t w i e n i a". Ale w słowach tych nie wyraża się nic innego, jak hipokryzja polityki zagranicznej Rzeszy. Niemcy nie są przeciwne f o r m a l n e m u istnieniu paktów pomocy francusko - wschodnich, ale przeciwstawiają się bezapelacyjnie tym ich przepisom, które gwarantują ich s k u t e c z n o ś ć! Zupełnie tak samo, jak Niemcy mówią g ł o ś n o: „pragniemy pokoju" i dodają w m y ś l i — „ale... oddajcie nam to wszystko, co straciliśmy w Wersalu!"

Z cytowanych wyżej precyzji redaktora *Frankfurter Zeitung* wynika, że Niemcy, podpisując ewentualnie nowy pakt zachodni, przyjęłyby do wiadomości istnienie sojuszów francusko-wschodnich z zastrzeżeniem, że w razie napaści Niemiec na któreś z państw wschodnio - europejskich Francja miałaby prawo spieszyć z pomocą sojusznikow., atakując Niemcy, tylko na podstawie „zezwolenia", udzielonego przez „gremium, które nie byłoby obce duchowi nowego paktu zachodniego." Cóż to ma być za „gremium"? — W Lokarno Nr. 1 gremium tym była Liga Narodów. Ale Niemcy tym razem nie uznają autorytetu Ligi, uznając ją za sprzeczną z owym „duchem" nowego paktu zachodniego. A jakim to „duchem" chcą Niemcy wypełnić ten pakt? — Duchem łajdactwa pruskiego, które znów ostrzy apetyt na słowiański Wschód. W języku dyplomatycznym znaczy to, że Niemcy odrzucają nie tylko automatyzm „wyjątków", ale i wszelką ingerencję Ligi w funkcjonowaniu Locarno Nr. 2. Wzamian za to czynione są w Berlinie sugestie, że to „gremium", mające w gruncie rzeczy decydować o zezwoleniu, czy nie zezwoleniu Niemcom na wojnę na Wschodzie, składać się ma z Włoch — współdziałających ściśle z Niemcami — oraz Anglii — którą Niemcy spodziewają się pozyskać dla swych planów wschodnich za cenę rezygnacji z rewindykacji kolonialnej. Jednym słowem Niemcy dążą do zmontowania trustu wielkich mocarstw; mogłyby one dzielić Europę tak, jak dzielono ją na Kongresie Wiedeńskim. Oczywiście — przed sąd mocarstw Niemcy wniosłyby odrazu swe „krwawiące" czy „obłąkane" granice z Polską, które Hitler pragnie zmienić, choć tylko „pokojowo". Wtedy Francja — myślą Niemcy — przyciśnięta do muru przez Anglię, Włochy i Niemcy zrezygnowałaby (roniąc łzy) z niesienia pomocy Polsce. Natomiast Hitler zabrałby głos w Reichstagu, stawiając Polsce alternatywę: albo „pokojowa" rewizja granic, albo wojna „bilateralna" po wygaśnięciu 26 stycznia 1944 polsko-niemieckiej umowy bilateralnej o nieagresji.

O to istotna treść żądań, stawianych przez Niemcy — poparte przez Włochy — oraz treść nadziei, jakie łączą Niemcy z ewentualnym zawarciem nowego paktu zachodniego. Społeczeństwo polskie może jednak przeciwstawić tym machinacjom stanowcze oświadczenie, złożone w Sejmie 5-go stycznia b. r. przez min. Becka: „Wysoka Izbo! Pytanie, które słusznie może mi tu być postawione, brzmieć by mogło: a co będzie w przyszłości? Mogę panom oświadczyć, że między rządem polskim i rządem francuskim istnieje całkowita zgodność poglądów co do zasady, że sojusz polsko - francusk powinien być w obliczu przyszłych układów czy negocjacji utrzymany. Miałem możność wyjaśnić tę sprawę z moim francuskim kolegą p. Delbos. Mam tu w pierwszym rzędzie na myśli toczące się już negocjacje o układ między zachodnimi mocarstwami Europy, który by miał zastąpić dawne układy lokarneńskie.

„Jeśli jesteśmy już zgodni co do z a s a d y, to niech mi wolno będzie wyrazić nadzieję, że znajdą się i sposoby, ażeby w świetle nowych, ewentualnych układów sojusz nasz z a c h o w a ł p e ł n ą w a r t o ś ć, i to zarówno j a k o e l e m e n t b e z p i e c z e ń s t w a każdego z naszych dwóch krajów, jak też jako współczynnik ogólnej stabilizacji Europy".

NOTATNIK GOSPODARCZY

Rok 1936 w życiu gospodarczym Dalekiego Wschodu

(s) O ile wypadki polityczne Dalekiego Wschodu cechuje niesłychana zmienność, o tyle życie gospodarcze kroczy drogą powolnego i konsekwentnego wysiłku. Niemniej zawiera ono w sobie zarodki nie tylko zasadniczych przemian struktury gospodarczej, ale i głębokich przeobrażeń o charakterze politycznym.

Sprawie tej poświęcił publicysta francuski, Fernand Maurette, w Nrze 6 „Revue d'économie politique" obszerny i wyczerpujący artykuł, zasługujący na uwagę. W świetle tego artykułu rok 1936 nie przyniósł z sobą wydarzeń o znaczeniu szczególnym, poza kilkoma nieoczekiwanymi zaburzeniami, pozostającymi pod bezpośrednim wpływem faktów, które dzisiaj są decydujące dla tej części globu jak: reakcje lokalne na kryzys światowy, tarcia pomiędzy Japonią a Chinami, wreszcie ekspansja Japonii w świecie.

Nasamprzód należy zanotować znaczną poprawę, jeśli idzie o *handel zagraniczny Chin*. Poprawa ta — to refleks odłodzenia gospodarczego państw, które zaliczają się do najlepszych klientów oraz najbardziej czynnych dostawców ogromnego rezerwua-

ru chińskiego. Jeżeli się porównuje fluktuacje handlu zagranicznego Chin z pierwszych siedmiu miesięcy 1936 roku z odpowiednim okresem 1935 roku (cyfry zapożyczone z „Narodowego Przeglądu Chińskiego"), poprawa maluje się zupełnie wyraźnie: na 610 milionów dolarów szanghajskich, której to sumie odpowiadała wartość importu Chin w roku 1935, na rok 1936 przypadło tylko 534 miliony; eksport natomiast wzrósł z 305 milionów w roku 1935 na 393 w 1936 roku. Deficyt bilansu handlowego, wynoszący dla wspomnianych siedmiu miesięcy 1935 roku 305 milionów, zmniejszył się w ten sposób w roku następnym do 141 milionów. Wzrost eksportu dał się zauważyć w szczególności w stosunku do takich krajów jak Stany Zjednoczone, Japonia, Wielka Brytania i Niemcy. Z krajów importujących niemal na czoło (tuż za Stanami Zjednoczonymi) wysunęły się Niemcy.

Wzmożenie *stosunków handlowych z Niemcami* jest bodajże najbardziej charakterystycznym faktem w zakresie handlu zagranicznego Chin w 1936 roku. I tak, jeżeli w imporcie, jaki dokonuje się poprzez port w Szanghaju, pierwsze miejsce zajmują jeszcze Stany Zjednoczone (podobnie jak w latach poprzednich), uczestnicząc w nim w 33,5%, Niemcy idą bezpośrednio za nimi z 30,3%, wyprzedzając w znacznym stopniu Japonię (18,5%), i Anglię (17,7%). Do Szanhgaju płyną z Niemiec maszyny i inne produkty z żelaza i stali, farby, wytwory chemiczne i farmaceutyczne, papier, książki itd. Odnośnie niektórych z wymienionych towarów import niemiecki już dzisiaj przoduje. Warto dorzucić, że blisko jedną czwartą wartości tego importu stanowi broń i amunicja.

Przemysł japoński, jako najbardziej dotknięty, ze szczególnym niezadowoleniem przygląda się pojawieniu, a raczej powrotowi niemieckiego konkurenta na rynku chińskim. Jest to jeszcze jedna przyczyna więcej skarg Japonii na postępowanie Chin, które zresztą nie pozostają dłużne, oświadczając nie bez pewnej goryczy, że akcja przedsięwzięta przez Japonię w północnych Chinach pozbawia całość gospodarstwa narodowego jednego z najważniejszych składników.

Aby zrozumieć zasadność tych wystąpień nie należy — jak to być może zbyt często dzieje się w państwach zachodnich — tracić z oczu znaczenia *produkcji Chin północnych* dla życia gospodarczego całego państwa, zwłaszcza dla jego rynku wewnętrznego. Jeśli się bierze pod uwagę pięć prowincji północnych: Ho-pei, Shantung, Shansi, Chahar i Sui-yuan, dochodzi się do stwierdzenia, że nie zawierając więcej niż jedną piątą ludności Chin właściwych (około 83 miliony mieszkańców), prowincje te posiadają 30% wszystkich ziem uprawnych, i w całości produkcji krajowej reprezentują również 30% zboża, 30% prosa, 63% ryżu. Jeżeli chodzi o dwa główne produkty tekstylne, poza jedwabiem, północne prowincje chińskie wytwarzają 34% bawełny i 90% wełny. Na 81 wielkich przedsiębiorstw młynarskich w Chinach 31 z nich znajduje się na północy. Na 130 fabryk zapałek prowincje północne posiadają 43. Jakkolwiek z pośród siedmiu wielkich cementowni na północy są tylko dwie, produkcja tych dwu cementowni stanowi połowę produkcji krajowej. Gdy do tego dodamy znaczenie, jakie posiadają kopalnie leżące na północy, dające 45% dzisiejszego wydobycia węgla i zawierające 55% ogółu olbrzymich jego zapasów, zrozumiemy, że istotnie skargi chińskie na ubożenie Chin przez Japonię nie są bez podstaw.

Wymienione cyfry dają jeszcze jedno: wyjaśniają *motywy ekspansji*, jakiej dokonała na tych właśnie terenach uboga w surowce Japonia. Co prawda — trzeba to uznać — Japonia robi wszystko dla wydobycia z własnej ziemi bogactw, które w niewielkiej ilości w niej tkwią. Czasopisma japońskie nie bez dumy donosiły w pierwszych miesiącach 1936 roku, że pomiędzy rokiem 1932 a 1935 produkcja górnicza Japonii podwoiła się. Między rokiem 1934 a 1935 wydobycie wszystkich produktów kopalnianych w Japonii uległo zwiększeniu zarówno pod względem ilościowym jak i pod względem wartości, bez względu na to, czy chodziło o węgiel, ropę naftową, rudę żelazną (w związku z czym stoi wzrost produkcji żelaza i stali), miedź, ołów, cynę, cynk, siarkę, czy w końcu złoto i srebro. Nie zmienia to oczywiście postaci rzeczy, że cała ta produkcja jest i będzie zawsze czymś niezmiernie małym w stosunku do potrzeb przemysłu japońskiego oraz że konieczność płacenia olbrzymiego i kosztownego importu będzie w dalszym ciągu najciemniejszym punktem położenia gospodarczego Japonii. Perspektywy w dziedzinie handlu zagranicznego przedstawiają się w oczach Japończyków daleko mniej różowo, aniżeli w oczach ich konkurentów.

I w rzeczy samej *bilans handlowy Japonii* zdaje się być w roku 1935 jeszcze bardziej deficytowy niż w latach poprzedzających. Przy przeglądaniu cyfr dotyczących handlu zagranicznego w pierwszych trzech kwartałach 1935 i 1936 r. rzucają się w oczy następujące fakty. Przewyżka importu nad eksportem osiągnęła sumę 210 milionów yen. W porównaniu z odpowiednim okresem 1935 r. wartość eksportu zwiększyła się w pierwszych dziewięciu miesiącach 1936 r. o 5%, podczas gdy import wzrósł o 13%. Import bawełny powiększył się o 81 milionów yen, wełny o 51 milionów. Tymczasem eksport tkanin bawełnianych, ze względu na bariery celne wzniesione zwłaszcza przeciwko temu produktowi przemysłu japońskiego, uległ zmniejszeniu o 10%.

W tym właśnie *froncie, zorganizowanym solidarnie w obronie przed zalewem importu japońskiego*, widzi świat przemysłowy Japonii — przynajmniej w chwili bieżącej — największe niebezpieczeństwo. Inne wydarzenia niepokoją go mało. I tak np. bez większego wrażenia przeszła dewaluacja w krajach bloku złotego. Japonia zdaje się nie oczekiwać niczego złego ze strony dewaluacji francuskiej, mimo szczególnej roli, jaką odgrywają w handlu zagranicznym Japonii stosunki handlowe z Indochinami francuskimi, o czym będzie mowa później. Możnaby pomyśleć, że Japonia odczuje silniej dewaluację floreна holenderskiego, biorąc pod uwagę stosunki handlowe utrzymywane z Indiami holenderskimi; jednakowoż zastosowanie niezmiernie przykrego dla Japonii systemu kontyngentów oraz innych metod restrykcyjnych tak dalece ograniczyło te stosunki, że wszelkie straty, jakie by z tego tytułu można ponieść, wydają się być już urzeczywistnione.

Jeżeli istnieje jakieś inne niebezpieczeństwo, obok zarządzeń ochronnych zastosowanych przez państwa importujące towary japońskie, które mogłoby w przyszłości zagrażać eksportowi japońskiemu — to pewni ekonomiści japońscy widzą jego zarodki raczej we wnętrz kraju. Coraz częściej słychać w Japonii głosy o *konieczności zwiększenia podatków* celem pokrycia corocznych deficytów budżetowych. Zabieg ten wydaje się nie do uniknięcia. Japońskie koła finansowe zdają sobie sprawę, że kiedyś trzeba będzie zerwać z dotychczasową metodą zaciągania długoterminowych pożyczek wewnętrznych. Podwyższenie stopy podatkowej stawia szereg nowych kwestii; przede wszystkim spowoduje zwyżkę cen, z czym w związku bezpośrednim pozostaje spadek siły nabywczej mas pracujących. Bez wątpienia trzeba będzie podnieść płace: ogólna suma kosztów produkcji zwiększy się, a to nie może nie pozostać bez wpływu na zmniejszenie się szans eksportu japońskiego.

Tak więc koła japońskie widzą dużo ciemnych stron w sytuacji swego państwa, która skądinąd zawsze jeszcze wzbudza obawę i zazdrość konkurentów zachodnich. W lecie 1935 roku, na wielkiej *międzynarodowej konferencji*, urządzonej w dolinie Yosemite przez „Institute of Pacific Relations", tematem, który wywołał najbardziej zaciętą dyskusję, było parcie Japonii w północnej części Chin oraz konkurencja produktów japońskich, odczuwana na wszystkich kontynentach.

W dyskusji wodzili rej — jak zwykle — *Anglicy*. Argumenty wysuwane przez nich, nie zawierające zresztą nic nowego, przedstawiały się następująco: 1) dewaluacja w Japonii była zbyt silna w stosunku do dewaluacji przeprowadzonych przez inne państwa, 2) ceny produktów są utrzymywane rozmyślnie na bardzo niskim poziomie, 3) płace są niesłychanie niskie, szczególnie jeżeli idzie o małe warsztaty rodzinne. Argumentom tym przeciwstawili *Japończycy* swoje: 1) Japonia bynajmniej nie zdewaluowała swej monety w większym stopniu aniżeli inne państwa, 2) kalkulacja kosztów produkcji jest najzupełniej uczciwa, 3) eksport japoński pochodzi przede wszystkim z wielkich fabryk, których robotnicy żyją co najmniej tak dobrze jak ich towarzysze zachodni. Punkt ciężkości — zdaniem Japończyków — leży gdzie indziej: po stronie Wielkiej Brytanii. Przed Wielką Brytanią istnieją możliwości zdrowej i silnej konkurencji, ale trzeba się zdecydować na ulepszenie procesu produkcyjnego. Wielka Brytania przyzwyczaiła się do monopolu w dziedzinie ekspansji przemysłowej; dzisiaj musi się pogodzić z myślą jego utraty. Zresztą jeszcze dzisiaj Wielka Brytanja wywozi dwa i pół raza więcej produktów bawełnianych aniżeli Japonia, przy czym ta ostatnia nie może eksportować inaczej, jak tylko za cenę wysoce kosztownego importu.

Pomiędzy dyskutującymi w Yosemite szczególną uwagę zwrócił *głos francuski* dzięki swemu obiektywizmowi i umiarkowaniu. Jest rzeczą niezaprzeczoną, że imperium francuskie, jako całość, zdolne jest oprzeć się zwycięsko konkurencji japońskiej. Jedynie te terytoria, które są w mniejszym lub większym stopniu są niezależne od Francji i statutowo nie wolno im wprowadzać ograniczeń w handlu zewnętrznym, notują masowy import produktów japońskich. Tak więc Maroko importowało towarów japońskich w czasie pierwszego półrocza 1935 r. za 12 milionów yen, eksportując zaledwie za 163 tysiące; państwa wschodnie, znajdujące się pod mandatem Francji, zakupowały towarów za 5 i pół miliona yen, sprzedając wzamian Japonii za 18 tysięcy. Poza tym nierówności te — nie wliczając tu samej Francji, która będąc doskonałą klientką dla jedwabiu japońskiego, nie wywiozła do Japonii połowy tej sumy, jaką od niej przywiozła (11 milionów yen wobec 24) — są naogół skompensowane bardzo korzystnym bilansem handlowym Indochin, które, przywożąc rocznie za 1.800.000 yen, eksportują do Państwa Wschodzącego Słońca za 7.077.000, w tym dużo węgla drzewnego, prawie całą ilość wydobywanego cynku.

Jeżeli chodzi o rywalizację między Francją a Japonią *na rynkach państw trzecich*, to odbywa się ona w zasadzie z niekorzyścią dla Francji. Jednakowoż straty zamykają się w stosunkowo niedużych cyfrach, przy czym obejmują tylko niektóre państwa. Niemniej jednak jest rzeczą symptomatyczną, że np. na rynku sąsiednim Francji — Hiszpanii — Francja była na przestrzeni lat 1932 — 1934 świadkiem spadku jej eksportu przędzy jedwabnej z 65,9% na 30,1% udziału w ogólnym imporcie tego towaru do Hiszpanii na korzyść eksportu japońskiego, którego odnośna pozycja wykazała wzrost z 0,1% na 26,4%. Podobnie w tym samym czasie udział Francji w imporcie grzebieni celuloidowych, towaru tak specyficznego dla Hiszpanii, spadł z 62,2% na 16,3%, podczas gdy udział Japonii wzrósł z 6,5% na 68,1%.

Nic więc dziwnego, że ta właśnie rywalizacja, rozgrywająca się na rynkach trzecich, daleko więcej niepokoi Francję, aniżeli możliwość inwazji produktów japońskich na francuskie rynki kolonialne. Zresztą odnosi się to nie tylko do Francji. Nie wydaje się bowiem, aby Holandia obawiała się zbyt silnego napływu towarów japońskich do jej posiadłości w Indiach: bariery celne, przezornie zawczasu wzniesione, okażą się najprawdopodobniej dostatecznie silne. Zato nie szczędzono w Yosemite ze strony holenderskiej wyrzutów (nie bez pewnej naiwności), że Japonia rozwija te gałęzie produkcji, które w przyszłości będą rywalizować z wytwórczością Jawy: między innymi produkcję cukru na Formozie, produkcję manioku i kopry w krajach mandatowych.

W całej tej dyskusji Japończycy wykazali dużo zręczności. Zwrócili oni uwagę swych przeciwników na sprzeczność, jaka — ledwie widoczna —

kryła się w ich przemówieniach. Państwa zachodnie bowiem z jednej strony czynią wyrzuty Japończykom z powodu ich niskiego poziomu życia, na którym bazują się niskie ceny i w następstwie zwycięska konkurencja, z drugiej zaś nie mogą się pogodzić z rozwojem industrializacji w Japonii, która dla Japończyków uchodzi za jedyny środek podniesienia tego niskiego poziomu życia, biorąc pod uwagę niesłychaną gęstość zaludnienia oraz szczupłość terytorium zdatnego do uprawy.

Czy jedyny środek? Być może. Jeżeli jednak tak jest, to trzeba wskazać na fakt, że japoński przemysł eksportowy już w niedalekiej przyszłości widzi szereg trudności, zdolnych poważnie osłabić jego siłę, trudności, które mają zrodzić się na własnym terenie. Wspomniano tutaj o jednej: perspektywie zwiększenia obciążeń podatkowych. Jest jeszcze druga — *ruch reformatorski, wywodzący się z szeregów młodej armii*. Wiedzą o tym wszyscy, że młodzi oficerowie japońscy, w przeważającej liczbie synowie chłopscy, odznaczają się głębokim zmysłem społecznym, w równym stopniu dostrzegalnym jak ich nacjonalizm. Pierwszy ustęp ich żądań poświęcony jest poprawie doli tej warstwy wiejskiej, z której oni sami pochodzą, a która w ramach dotychczasowej polityki państwowej pełniła rolę kozła ofiarnego społeczeństwa. Robotnik głównie dlatego mógł się stosunkowo dobrze wyżywić przy niskich płacach, a przemysł wytwarzać po niskich cenach, że po dokonanej dewaluacji nie wolno było sprzedawać ryżu po cenie wyższej w yenach zdewaluowanych od tej, jaką otrzymywał dawniej w yenach w złocie. Bez przesady można powiedzieć, że pomyślny rozwój przemysłu był stworzony z nędzy wsi japońskiej. Czyż trzeba podkreślać, jak silnie odczuje przemysł nadejście tego dnia, w którym młodej armii japońskiej uda się zrealizować zapowiadane przeobrażenia?

Tego rodzaju przywidywania stanowią jeszcze jeden powód więcej, aby — przynajmniej zgodnie z opinią rozsądniejszych Japończyków — nie stawiać wszystkiego na jedną kartę i w konsekwencji nie rezygnować z żadnej okazji, dającej możność wzbogacenia kraju. Stąd szczególnie aktualnym stał się *problem emigracji*.

Dzisiaj blisko jeden milion Japończyków znajduje się poza granicami swojej ojczyzny. To bardzo niewiele — to zaledwie cyfra, o którą corocznie się zwiększa ludność Japonii dzięki znacznej przewadze liczby urodzeń nad liczbą zgonów. Z drugiej strony współczesne ustawodawstwa państw imigracyjnych okazują wyraźną tendencję do zamykania swych bram przed napływem przybyszów, zwłaszcza gdy nimi są żółci. Tym niemniej Japonia jest w trakcie dokonywania wielkiego wysiłku emigracyjnego i kolonizacyjnego w kierunku „białego" brzegu Pacyfiku, ze szczególnym natężeniem odnośnie Ameryki południowej. Dzisiaj Brazylia jest krajem, kóry z państw nieazjatyckich posiada najwięcej Japończyków.

Jakie wnioski należałoby wyciągnąć z dokonanego powyżej przeglądu bieżącej sytuacji gospodarczej Dalekiego Wschodu? Czy Japonia zdoła przezwyciężyć trudności, jakie przed nią narosły zarówno w dziedzinie gospodarczej jak i socjalnej? — Dzisiaj trudno o wyraźną odpowiedź. Jedno wydaje się być pewne: wyjścia z obecnej ciężkiej sytuacji nie da sam rozwój przemysłu, podobnie jak nie da go i emigracja. Zdaje się ono leżeć w innej płaszczyźnie — politycznej: *powodzeniu ekspansji terytorialnej* (Wyjście takie znalazły — przynajmniej pozornie — Włochy przez podbój Abisynii; usiłują je znaleźć Niemcy, podnosząc rewindykacje kolonialne).

O NAS U OBCYCH

(Nowy Komisarz Ligi w Gdańsku— Stosunki polsko-niemieckie a Niemcy w Polsce)

W związku z przybyciem do Gdańska nowego wysokiego Komisarza Ligi Narodów, Szwajcara, d-ra Burckhardta, naczelny organ partii narodowo-socjalistycznej — Volkischer Beobachter (nr 65) — przypomina w dłuższym wywodzie swego gdańskiego współpracownika, Wilhelma Zarske'go, motywy decyzji Ligi Narodów w sprawie utworzenia instytucji Wysokiego Komisarza Ligi w Wolnym Mieście Gdańsku („Völkischer Beobachter" posługuje się tu uparcie terminem „Freistaat" — „Wolne państwo").

Wywód ten jest poprzedzony dygresją polemiczną, skierowaną przeciwko Lidze Narodów, która na przestrzeni lat nie zdała jakoby zupełnie egzaminu, jako „opiekunka z urzędu" Wolnego Miasta. Liga Narodów — powiada „V. B." — nie interweniowała np. wcale w chwili, gdy Polska, wbrew istotnemu sensowi wyodrębnienia Gdańska z niemieckiego obszaru państwowego, przystąpiła do budowy konkurencyjnego portu Gdyni. Ta sama Liga Narodów nie zatroszczyła się też nigdy o to, by pośpieszyć Gdańskowi z pomocą, gdy piętrzyły się przed nim trudności finansowe. Liga trudności te jeszcze powiększała, każąc Gdańskowi opłacać instytucję wysokiego Komisarza i obciążać w ten sposób gospodarkę Wolnego Miasta wydatkami, sięgającymi dziś kwoty blisko jednego miliona guldenów.

Przechodząc do właściwego tematu, „Völkischer Beobachter" stwierdza, że punktem wyjścia dla ustanowienia odrębnego organizmu gdańskiego była konieczność dania młodej republice polskiej portu i stworzenia w ten sposób dla niej dostępu do morza. Gdańsk więc został wbrew swej woli i nie we własnym interesie wyrwany ze swych naturalnych warunków po to, by korzyści z jego położenia, jego możliwości i jego urządzeń portowych mogło ciągnąć Państwo Polskie. Przyczyną, dla której przede wszystkim dano Gdańskowi odrębną strukturę polityczną, był — według „V. B." — fakt posiadania przez Gdańsk niesłaszczowanego i w żaden sposób nie dającego się zaprzeczyć charakteru miasta niemieckiego. Z poszczególnych paragrafów dyktatu (!) wersalskiego, wiążących Gdańsk z Ligą, wynikało, że Lidze chodziło o pełne zachowanie wewnętrznych form życia gdańskiego bez jakiegokolwiek ograniczania woli narodowej Gdańszczan.

Rolę Ligi Narodów, jako sprawującej ochronę nad Wolnym Miastem należy — zdaniem pisma — tłumaczyć jedynie tym, że państwa zwycięskie zdawały sobie sprawę ze słabości Gdańska w zakresie zabezpieczenia jego ustroju. Przewidując więc możliwość istnienia konfliktów między Gdańskiem z jednej, a jego silniejszym sąsiadem — Polską — z drugiej strony, państwa te stworzyły instytucję Wysokiego Komisarza dla likwidowania ewentualnych wzajemnych sporów. Dalsze zadania Wysokiego Komisarza, związane z konstytucją Wolnego Miasta, były właściwie zadaniami drugorzędnymi. Tak więc pierwszy z komisarzy w Gdańsku nie przygotowywał, ani tym bardziej nie narzucał konstytucji, lecz odgrywał przy tym normalizowaniu i regulowaniu stosunków wewnętrznych jedynie rolę pomocniczą. Liga Narodów, uświadamiając sobie ciążący na niej obowiązek dbania o całość spraw i interesów Gdańska, przekształciła wtedy instytucję Wysokiego Komisarza na pewnego rodzaju instrument pomocniczy przy organizowaniu pierwszej fazy nowotworzonego ustroju W. Miasta. Zdaniem „V. B." należy więc jakoby przyznać słuszność tym, co mówią, że poddanie przygotowawczych prac konstytucyjnych i przekazanie obowiązków obserwatora wpływów postanowień konstytucji na życie Gdańska Wysokiemu Komisarzowi wynikło przede wszystkim z obawy przed możliwością ingerowania w życie wewnętrzne W. Miasta czynników postronnych. Pismo berlińskie podkreśla tu niedwuznacznie, że w myśl artykułów 102 i 103 traktatu wersalskiego chodziło wtedy o... Państwo Polskie.

Dzisiaj niebezpieczeństwo powstawania konfliktów między Gdańskiem a Warszawą — ciągnie dalej „V. B."— nie istnieje już od zgórą trzech lat. Lidze Narodów odebrano rolę pośrednika. Sytuacja wewnętrzna Wolnego Miasta kształtuje się obecnie bez wstrząsów ze względu na obdarzenie przez prawie całą ludność gdańską stojącej u steru większości narodowo-socjalistycznej pełnym zaufaniem. Na uboczu stoją jedynie nieliczni malkontenci, którzy jednak nie będą mogli, stosownie do ostatniej decyzji genewskiej, liczyć na to, by Wysoki Komisarz mógł stać się rzecznikiem ich interesów.

W końcowych swoich rozważaniach „Völkischer Beobachter" wskazuje jeszcze na fakt organicznego zespolenia się w Gdańsku rządów z partią, co w rezultacie doprowadziło do tego, że bez zamachu stanu i przy rozsądnym dostosowaniu zewnętrznej formy do istotnych warunków miejscowych Wolne Miasto Gdańsk mogło sobie inaczej urządzić swoje życie wewnętrzne i stworzyć potrzebne do tego ustawodawstwo, nie zmieniając wcale stosunków prawnych z czynnikami postronnymi: Rzeszą, Polską i Ligą Narodów. „Völkischer Beobachter" konkluduje ostatecznie, że wszyscy ci, co są zainteresowani w utrzymaniu pokoju w Europie, winni się jedynie cieszyć z takiego obrotu rzeczy, jaki dokonał się w dziedzinie stosunków wewnętrznych i zewnętrznych Gdańska.

*

Według BERLINER TAGEBLATT'U (nr 104) organizowaną w Polsce wewnętrzną akcję konsolidacyjną należy uważać za niezbędną i konieczną podbudowę mocarstwowej pozycji, jaką Polska posiadła na forum międzynarodowym dzięki mądrej i przewidującej polityce płk. Becka, polityce, która dała Polsce swobodę ruchów, pozwoliła jej uregulować stosunki z sąsiadami i odświeżyć sojusz z Francją, polityce, która wreszcie zdołała zjednać dla Polski Anglię.

W Polsce — powiada „B. T." — dobrze zdają sobie sprawę z tego, że ta swoboda ruchów została uzyskana jedynie dzięki paktowi z Niemcami. Pakt ten posiada dla życia Europy znaczenie pierwszorzędne nie tylko ze względu na odizolowanie linią Rewel — Bukareszt Europy od bolszewizmu, ale również i dlatego, że zlikwidował on cały szereg punktów newralgicznych, mających swe źródło w traktacie wersalskim. W dziedzinie wzajemnych stosunków polsko-niemieckich pakt dał każdej ze stron tylko korzyści, które mogą być pomnożone przez dalsze, celowe poprowadzenie zapoczątkowanego kursu pojednawczego. Dla Niemiec korzyści — jak dotąd — wyrażają się głównie w tym, że dzięki odprężeniu na wschodzie Niemcy wyswobodziły się na zachodzie z pęt wersalskich i przystąpiły do montowania własnych sił zbrojnych. Z drugiej zaś strony, jeżeli chodzi o Polskę, pakt dał jej możność wejścia między mocarstwa, co nazewnątrz wyraziło się w usunięciu się spod opiekuńczych skrzydeł Francji i w zapoczątkowaniu niezależnego kursu polityki zagranicznej.

Sens paktu polsko - niemieckiego polega — według „B. T." — w chwili obecnej nie tylko na tym, że dzięki niemu eliminuje się z wzajemnych stosunków polsko - niemieckich niespodzianki, czy groźbę konfliktów zbrojnych, ale że dzięki niemu można było zorganizować wspólny front antybolszewicki. Ta identyczna postawa obu partnerów paktu wobec niebezpieczeństwa bolszewickiego została pokreślona z jednej strony przez pobyt premiera Goeringa w Białowieży, z drugiej strony przez deklarację płk Koca, odrzucającą zdecydowanie komunizm z jego funkcjami pochodnymi, jako zjawiskami, szkodliwymi dla polskiego życia państwowego. „Pomijając to, — pisze dosłownie „Berliner Tageblatt" — że akcja około stworzenia nowych, opartych o autorytet, polskich form państwowych, nie nosi cech narodowo - socjalistycznych, wspólne interesy na odcinku antyko-

munistycznym wzmacniają poważnie pokojowy front polsko - niemiecki, który żadnego z partnerów nie obciąża nie dającymi się praktycznie zrealizować zobowiązaniami, jakkolwiek w innych sprawach, np. w dziedzinie zagadnień politycznych, związanych z Ligą Narodów, w sprawie paktu zachodniego, podziału rynków surowcowych, czy posiadłości kolonialnych postulaty Polski i Niemiec mogą się krzyżować".

Jak się jednak z końcowej części wywodów „B. T." okazuje, powyższe rozważania na temat „błogosławionych" skutków paktu polsko - niemieckiego stanowią pewnego rodzaju przygrywkę do praktycznego postulatu, z jakim „B. T.", zwraca się do Polaków. Mianowicie przechodzi on w zakończeniu do omawiania sprawy położenia Niemców w Polsce, która nb. ostatnio została w Niemczech zaktualizowana przez prasę codzienną i to najniewątpliwiej z inspiracji ministerstwa propagandy Rzeszy.

W sprawie tej „B. T." formułuje dezyderat, by można było przystąpić jak najprędzej do międzypaństwowego uregulowania spraw mniejszości narodowych, podkreślając, że ma to dla milionowej rzeszy Niemców w Polsce wyjątkowe znaczenie. Niemcom chodzi o to, by mniejszość niemiecka w Polsce mogła kształtować sobie znośnie („ertraglich") swoje życie gospodarcze i kulturalne oraz o to, by władze centralne położyły kres wszelkiej akcji antyniemieckiej, prowadzonej w terenie przez szowinistyczne organizacje bojowe („Kampfverbände") i przez podległą im prasę. Ciężkie położenie mniejszości niemieckiej wpływa — według „B. T." — hamująco na dalszy prawidłowy rozwój stosunków polsko-niemieckich. Jeżeli się uda sprawę powyższą załatwić przez stworzenie rozsądnego modus vivendi, wtedy — według „Berliner Tageblatt'u" — pokojowe dzieło Adolfa Hitlera i Marszałka Piłsudskiego przerodzi się w podwalinę porządku europejskiego.

W tym samym mniej więcej tonie, co wywody „Berliner Tageblatt'u", są utrzymane wynurzenia „Frankfurter Zeitung" (nr 130-31 z 12.3), która jest zdania, że najlepszym wyrazem „uczuć młodej przyjaźni" między obu narodami (t. zn. Polską i Niemcami) może stać się sprawa zagwarantowania przez rząd polski mniejszości niemieckiej w Polsce należnych jej praw.

Rzecz charakterystyczna, że żaden z wyżej cytowanych dwóch dzienników niemieckich, wysuwając tego rodzaju dezyderaty, nie wspomina przy tym ani słowem o nie mniej chyba istotnym we wzajemnych stosunkach sąsiedzkich elemencie żywotności paktu, t. zn. o ludności polskiej w Niemczech, której sytuacja życiowa jest dzisiaj wyjątkowo ciężka.

PRZEGLĄD PRASY

O czynną postawę psychiczną narodu

WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY (nr 74 z 15.3) wysuwa postulat przesunięcia postawy psychicznej narodu polskiego z obronnej na ofensywną. Pismo stwierdza, że wysuwane w różnych krajach Europy hasło obrony terytorium i niezależności państwa nie odpowiada rzeczywistości życia narodów i jest niedostateczne, bo zwęża zarówno zadania i przeznaczenie sił zbrojnych, jak też zadania i przeznaczenie polityki narodowej.

„Naród ma za najważniejsze zadanie żyć i rozwijać się wszechstronnie. Najważniejszym przeznaczeniem narodu w zakresie jego życia ziemskiego jest prowadzenie odpowiedniej polityki, bo ona jest regulatorem i czynnikiem koordynującym wszystkie dziedziny życia zbiorowego. Polityka nie polega li tylko na obronie interesów narodu, ma ona i mieć musi charakter pozytywny, być czynna, posiadać inicjatywę, mieć charakter zdobywczy i zaczepny, gdy jest to do wypełnienia misji dziejowej narodu potrzebne.

Zgodnie z zasadą powyższą musi armia, jako najważniejsze narzędzie polityki polskiej, mieć także zadania nie tylko obronne, lecz i zdobywcze. Mówić o tym trzeba rzadko, lecz myśleć ciągle. Bo wykoszlawilibyśmy i zwęzili ducha naszego wojska, gdybyśmy je przygotowali materialnie, a zwłaszcza moralnie, tylko do zadań obronnych."

*

W tym samym duchu wypowiada się przekształcony na Politykę (nr 6 z 10.3) „Bunt Młodych" w artykule o sensacyjnym tytule: „Nie będziemy Polski bronić!":

„My, Polska, która idzie, nie chcemy się bronić.

Uważamy, że Naród, który myśli tylko o obronie, który myśli kurczowo o obronie, nie może się obronić.

Uważamy wychowanie Polski w duchu obrony i tylko obrony jako niebezpieczną demobilizację moralną, wobec mobilizacji naszych sąsiadów.

Postawienie sprawy naszej postawy psychicznej w sposób biegunowo przeciwny od tego, co wyżej się pisało, jest niewątpliwie słuszne. Nie słuszne jednak i niezgodne z tym stanowiskiem „Polityki" jest równoczesne głoszenie przez nią rezygnacji z naszych praw historycznych do terytoriów polskich, leżących poza dzisiejszymi naszymi granicami państwowymi („Nie marzyć i mazać się ckliwie „obroną" paru powiatów, które na wschodzie czy zachodzie, parę wieków temu, miały ludność polską"). Tego rodzaju „imperializm" wydaje się być bardzo szumnym w hasłach, bardzo mało realnym w treści.

W rocznicę okupacji Nadrenii

W związku z przypadającą na miesiąc bieżący rocznicą wprowadzenia wojsk niemieckich na terytorium Nadrenii *Warszawski Dziennik Narodowy* (nr. 73 z 14.3.) przypomina słowa redaktora naczelnego radykalnej „La République" — Pierre Dominique'a — o ówczesnej sytuacji wewnętrznej Francji, nie pozwalającej na przeciwstawianie się akcji niemieckiej mimo dysponowania przez Francję wielkimi siłami wojskowymi w ludziach i materiale wojennym.

„W rzeczywistości było to możliwe z punktu widzenia wojskowego, tylko, że Francja nie była gotowa moralnie, bo nie panowała nad swą duszą („n'avait pas le commandement de son ame"). Rozdarta walką ideową, odbywającą się na wszystkich placach publicznych, mogła była zgromadzić bataliony i materiał wojenny. Tymczasem operacja wojskowa tej miary wymagała rzeczy większych i lepszych: trzeba było móc liczyć na wszystkie siły duchowe kraju; w dniu 7 marca 1936 r. żadne ministerstwo liczyć na to nie mogło. Inwazja wywołałaby z pewnością taki cud, lecz czyż wejście Niemców do Nadrenii było inwazją?"

Następstwa tego wejścia wojsk niemieckich do Nadrenii stać się mogą — zdaniem publicysty francuskiego — brzemienne w skutki dla przyszłego układu sił politycznych w Europie.

„Historycy w przyszłości napiszą co następuje: 7 marca 1936 r. Francja, cofając swą linię wyjściową z Renu na Saarę, zmniejszyła do połowy siłę swego uderzenia na wypadek najazdu niemieckiego na Polskę lub Czechosłowację. Można dyskutować, czy to cofnięcie się prowadziło do osłabienia zdolności jej możliwości działania. Praga i Warszawa straciły na skutek tego rzeczy istotne dla swego bezpieczeństwa."

„Warszawski Dziennik Narodowy" przeciwstawia ówczesną postawę psychiczną Francji zgoła odmiennej postawie psychicznej Włochów i wysnuwa z tego następujące wnioski:

„Dzięki posiadaniu tajemnicy współmyślenia i współczucia z narodem potrafił Mussolini poprowadzić Włochów na wyprawę do Afryki. Wywołał entuzjazm, poświęcenie i ofiarność, mimo, że nie chodziło o obronę przed najazdem, ani o obronę nabytych praw, lecz o wysiłek pozytywny — o zdobycie nowych terytoriów i nowych uprawnień. Proszę porównać zachowanie się Francji po dn. 7 marca 1936 r. i zachowanie się Włoch w tak ważnym dla nich roku 1936, roku wielkiej wyprawy afrykańskiej. Zrozumiemy wówczas jedną z tajemnic życia narodów, zrozumiemy, co miał na myśli radykalny publicysta francuski, gdy pisał, że „Francja nie panowała nad swą duszą."

Kondominium polsko-francuskie

Łódzka *Republika* (nr. 70 z 11.3) stwierdza na marginesie ostatnich agresywnych w stosunku do Anglii wystąpień niemieckich w sprawie kolonii zamorskich, że terenem targów o kolonie powinien był stać się Paryż, który sam szuka zmian ustroju kolonialnego, a nie imperialistyczny i zachowawczy Londyn.

„Gdyby kolonie były celem a nie pretekstem, atak powinien był być zainicjowany nad Sekwaną, a nie nad Tamizą. Od pierwszej chwili dojścia do władzy obecnej większości sama przez się stanęła we Francji kwestia kolonialna. Ze względów zasadniczych, lub jeśli kto woli, doktrynalnych, dotychczasowe formy eksploatacji kolonii musiały ulec głębokim zmianom."

Te nowe prądy kolonialne we Francji mogą być również wyzyskane przez Polskę, w wypadku przyjęcia przez nią roli mediatorki. Jeżeli chodzi o pewne koncepcje realne, to na terenie paryskim niejednokrotnie już proponowano,

„by niektóre kolonie francuskie użyć jako ujście dla nadmiaru ludności polskiej, podczas gdy pewne kolonie angielskie mogły oddać usługi analogiczne Niemcom. Co się tyczy form administracyjno-politycznych takich kolonii, to wysuwano pomysł kondominiów".

Konkludując, „Robotnik" stwierdza ostatecznie co następuje:

„1) Uczciwe żądanie kolonii ze strony Niemiec spotkałoby się z pewnością przy obecnej koniunkturze z przyjęciem rzeczowym i życzliwym.

2) Polska może i powinna się podjąć roli mediacyjnej, roli bardzo wdzięcznej, dającej bowiem możność zapewnienia i sobie bardzo poważnych korzyści."

Manewry na lewicy

Ostatnie posunięcia organizacyjne lewicy polskiej (Kongres Z. Z. Z., akcja konsolidacyjna socjalistów i in.) odbiły się w kołach rodzimej reakcji dosyć silnym echem. Lewiatański KURIER POLSKI (nr. 69 z 10.3.) radzi np. nie lekceważyć prób przyobleczenia w szatę rzeczywistości koncepcji „frontu demokratycznego".

„Ruchliwość przywódców ugrupowań lewicowych w ostatnich czasach wskazuje, że tworzenie Obozu Zjednoczenia Narodowego oceniają oni jako zjawisko dla siebie groźne, któremu starają się przeciwstawić konsolidację stronnictw lewicowych, rozumiejąc, że w rozsypce walka jest trudniejsza, niż w zwartym szyku. Sądzą, że takie zjednoczenie ugrupowań lewicowych wywrze bardziej atrakcyjny wpływ na masy, istotnie nieslychanie zgorszone ciągłemi waśniami przywódców. Nie zdają sobie natomiast sprawy, że kopiowanie na polskim gruncie wzorów obcych, które zdołały się już skompromitować gdzieindziej, nie rokuje powodzenia".

Natomiast prasa narodowo-demokratyczna patrzy na rozwój wypadków na odcinku robotniczym (akcja ZZZ i PPS) optymistycznie, dochodząc do przekonania, że *tertius gaudens* będzie ona, gdyż masy robotnicze coraz bardziej ponoć ulegają „prądowi narodowemu" (endecji). Według WARSZAWSKIEGO DZIENNIKA NARODOWEGO (nr. 69 z 10.3):

„W najbliższej przyszłości proces ten będzie się pogłębiał, co nie tyle sprzyja powstawaniu „frontu robotniczego", ile przemawia za rozszerzeniem się „frontu narodowego". Sądzimy, że zarówno wzory czerwonej syndykalistycznej Hiszpanii, jak i taktyczny „neo-nacjonalizm" nie wywołają zamierzonych skutków i nie wpłyną decydująco na przyszłą postawę mas robotniczych.

Nasze masy robotnicze pójdą inną

drogą, na którą już znaczna ich część weszła i która zaprowadzi je do polskiego państwa narodowego".

KURIER BYDGOSKI (nr 58 z 12.3) zainteresował się prądami, nurtującymi w chwili obecnej Polską Partię Socjalistyczną. Podzieliwszy wszystkich socjalistów na dwie grupy: demokratyczną i rewolucyjną, z których pierwszej przewodzi red. Niedziałkowski, drugiej — Norbert Barlicki, pismo tak charakteryzuje sytuację w P. P. S.:

„Obok komunizujących socjalistów p Barlickiego, którzy opanowali zwłaszcza zwarte skupienia robotnicze, większość zwolenników P. P. S., to ludzie umiarkowani, z przekonań coprawda socjaliści „demokraci," ale niechętnie patrzący na wysługiwanie się władz partyjnych Trzeciej Międzynarodówce. Oni to woleli by, aby Polska Partia Socjalistyczna była polską nie tylko z nazwy, ale naprawdę. Oni też dążą do usunięcia z władz PPS przywódców żydowskich. Do żydów odnoszą się dość wrogo. Są mniej czy więcej antysemitami. Możnaby powiedzieć, że są to niekiedy ludzie, znajdujący się już na pół drogi do nacjonalizmu. Rychlej czy później wylądują oni zapewne w obozie narodowo-radykalnym, jak w Niemczech zasilili szeregi narodowo-socjalistyczne."

W ostatnim zdaniu wyżej przytoczonej cytaty tkwi zapowiedź nieprzeciętnej sensacji. Redaktor Mieczysław Niedziałkowski, prowadzący za rączkę redaktora d-ra Wojciecha Zaleskiego (z „ABC") wart będzie oglądania.

Przeholowali z masonami

Pewien wesoły tygodnik warszawski, którego redaktor wsławił się nie dawno temu wydaniem niemniej wesołej „geografii politycznej" w Polsce, zamieścił dłuższy elaborat niejakiego Stanisława Kobylińskiego, poświęcony masonerii na Parnasie polskim. Czego tam nie ma! Okazuje się, że pisarzy i poetów nie-masonów moglibyśmy policzyć zaledwie na palcach jednej ręki. I Prus, i Orzeszkowa, Sienkiewicz, Żeromski, Konopnicka, Przybyszewski, Reymont, Wyspiański, Kasprowicz et tutti quanti — to wszystko albo jawni, albo też ukryci masoni.

To wdarcie się przedsiębiorczego Pana Kobylińskiego w „las dziewiczy" Parnasu polskiego nie przyniosło mu spodziewanych laurów. Ci, na których liczył, pouczyli go, że jest to rzecz zgoła nieprzyzwoita występować z tego rodzaju zarzutami bez poparcia ich żadnymi dowodami. Bardzo przecież katolicki krakowski GŁOS NARODU taką np. wypalił pod adresem rewelatora reprymendę:

„Co drugi człowiek w Polsce chodzi z łatką masona, przypiętą mu przez gorliwców, a ludzie zaczynają sobie zadawać pytanie: czy w takim razie nie wyrządza się masonerii krzywdy, posądzając ją o światoburcze cele?

Masonerię uważamy za siłę zgubną i niebezpieczną sektę. Niech więc efekt naszej kampanii antymasońskiej, który m. in. wyraża się bezpodstawnym oskarżeniem Sienkiewicza, powstrzyma naszych gorliwców od zamętu".

Podobnie również i DZIENNIK WILEŃSKI (nr. 71 z 13.3) — mutacja „Warszawskiego Dziennika Narodowego" — ostrzega przed zbytnim reklamowaniem masonów w taki sposób, jak to robi p. Kobyliński.

„Masonerię — pisze „Dziennik Wileński" — należy demaskować i zwalczać, ale w tej walce nie trzeba jej robić niezasłużonego zaszczytu, jakim byłoby zaliczenie do niej wszystkich niemal naszych wielkich pisarzy. Dlatego jedynie, że w utworach swych wyrażali oni idee, głoszone lub wprowadzane w życie przez masonerię. Były to bowiem idee wieku XIX, a oni — dzieci tego wieku — nie zawsze lub nie zupełnie mogli się z pod ich wpływów wyzwolić".

Katowicka POLONIA (nr. 4455 z 10.3.), broniąc przy sposobności interesów własnych, dodaje do uwag „Głosu Narodu" co następuje:

„To przypinanie „łatki masona", o którym wspomina „Głos Narodu", doprowadziło do tego, że po zeszłorocznej konferencji w Morges przeciwnicy zaczęli mówić o... robocie masońskiej. Dziś jeszcze otrzymujemy skargi, że niektóre jednostki z Obozu Wszechpolskiego zaliczają do masonerii Paderewskiego. Co do Korfantego, to wahają się, bo zawsze to prezes Chrześcijańskiej Demokracji i autor paruset artykułów w „Polonii", przepojonych duchem religijnym. Za to Witosa malują z kielnią za pazuchą".

Czyżby zapowiadał się zmierzch masonerii w Polsce, polegający na tym, że znaleźliby się ostatecznie w naszej przeszłości, czy teraźniejszości, ludzie wybitni, którzy nie byliby równocześnie masonami? Przez pewien czas mogło się już wydawać, że takich nigdy nie było.

Polacy w Niemczech odpierają atak

Równolegle do akcji przeciwko uprawnieniom polskim w Gdańsku, czy też akcji w obronie rzekomo naruszanych praw mniejszości niemieckiej w Polsce, niektóre czynniki niemieckie zajęły się ostatnio również sprawą Polaków w Niemczech. Przy okazji stwierdza się z różnych stron, że właściwie to sprawą Polaków w Niemczech nie warto się tak specjalnie zajmować, gdyż jest ich przecież zaledwie jakieś 200.000.

W odpowiedzi na powyższe wystąpienia opolskie *Nowiny Codzienne* (nr. 60 z 14.3) stwierdzają przede wszystkim, że cyfra 1½ miliona Polaków w Niemczech jest cyfrą, której żadne sztuczki i kombinacje nie obalą.

„Liczby wyborcze skwapliwie wykorzystywane przez antypolską prasę, nigdy nie mogą być sprawdzianem liczebności grup obconarodowych w państwie. Gdyby bowiem uznać, że liczby wyborcze stanowią w tym wypadku argument, to 800-tysięczna mniejszość niemiecka w Polsce musiałaby być fikcją z tej racji, że przecież mniejszość ta nie była zdolna przeprowadzić nikogo do przedstawicielstwa parlamentarnego".

To, że lud polski w Niemczech zachował swą polskość, jest jedynie i wyłącznie zasługą własnego wysokiego poczucia narodowego. Poczucie to sprawiło, że Polacy w Niemczech walczą z germanizacją, wprawdzie oficjalnie potępioną i odrzucaną, ale kontynuowaną i prowadzoną przez różne nieodpowiedzialne czynniki terenowe.

„Praca nasza — piszą „Nowiny Codzienne" — wykazuje sukcesy, nawet dość duże. Ktoby jednak pragnął wpisywać je na dobro życzliwości, a nawet specjalnie wyszukanej tolerancji narodowościowej, popełnia błąd kardynalny, który całkiem nie liczy się z naszą faktyczną sytuacją. Jedynie naszą zasługą jest to, co mimo naszego ubóstwa materialnego zdołaliśmy wywalczyć. Bez naszej woli, wytrwałości i wolki nie mielibyśmy dziś niczego."

W odpowiedzi wreszcie na tezę, że Polakiem jest tylko ten, kto otwarcie przyznaje się do polskości, tezę, propagowaną — rzecz znamienna — przez silniejszego liczbowo, fizycznie i materialnie, „Nowiny Codzienne" stwierdzają:

„Członkiem Narodu Polskiego jest każdy, kto pochodzi z polskich rodziców, czyli w którego żyłach płynie krew polska i którego językiem ojczystym jest język polski. Oczywiście, w zależności od uświadomienia i usposobienia, istnieją Polacy dobrzy i mniej dobrzy. Z nikogo z nich jednak Naród Polski nie rezygnuje. A najmniej z tych, którym wydziera się język ojczysty. To nie uznajemy sławiania granic. Rezygnujemy tylko ze straconych już dla Narodu, którzy mimo swego pochodzenia „zapomnieli" o przynależności do Narodu Polskiego."

Niedomówienia ministra Łozorajtisa

Na marginesie odpowiedzi min. Łozorajtisa na enuncjację min. Becka w sprawie stosunków polsko-litewskich, w której litewski minister spraw zagranicznych winę za niepowodzenie normalizacji stosunków wzajemnych zepchnął na Polskę, *Kurier Wileński* (nr. 67) wysuwa następujące dwie hipotezy na temat obecnych nastrojów Litwy, w sensie szukania uzasadnienia znaczenia politycznego mowy min. Łozorajtisa w stosunkach wewnętrzno-litewskich:

„1. Min. Łozorajtis wygłosił przemówienie po to, aby się wytłumaczyć przed zarzutem, że próbował pertraktować z Polską z pominięciem sprawy Wilna — co by znaczyło, że nastroje na Litwie są pod przemożnym wpływem Związku Wyzwolenia Wilna.

2. Min. Łozorajtis chciał przez wygłoszenie swego przemówienia podnieść na duchu rodaków, wytłumaczyć, że do porozumienia z Polską dojść nie może z winy Polski wbrew temu, co twierdzi min. Beck, a więc w najprostszy sposób przerzucić odpowiedzialność na stronę przeciwną — polską. Świadczyłoby to o wzroście nastrojów pojednawczych społeczeństwa litewskiego w stosunku do Polski."

Jak się jednak zdaje, obie hipotezy co do nastrojów społeczeństwa litewskiego są najprawdopodobniej tylko częściowo słuszne.

„Trzeba przyjąć, że w społeczeństwie litewskim nie ma całkowitej jednolitości, że zdania są podzielone, a mowa, jako akt polityczny, jest tak skonstruowana, aby działać na jednych, asekurując się jednocześnie od drugich."

Wojsko a reforma rolna

W związku z deklaracją sen. Lubomirskiego, złożoną w Senacie przed głosowaniem nad budżetem, a wymierzoną przeciw polityce min. Poniatowskiego, organ naszych kół wojskowych — POLSKA ZBROJNA — pisze, co następuje:

„Wolno rzecznikowi zainteresowanych sfer obszarniczych ustosunkować się negatywnie do sprawy przebudowy ustroju rolnego, jako że reforma wyrazić się musi, rzecz oczywista, w zmniejszeniu stanu posiadania ziemiaństwa. Powiemy nawet, iż jest to objaw psychologicznie zrozumiały, każdy bowiem jak umie broni swoich interesów.

Twierdzić jednak, że w interesie państwa leży zamykanie oczu na doniosłe zagadnienia, które stawia przed nami nasza rzeczywistość gospodarcza i społeczna — jest oczywistym nonsensem. Nawet wówczas, gdy próbuje się osłonić interesy pewnej grupy ludzi wątpliwej wartości argumentem obniżenia produkcji.

Nie twierdzimy, że reforma rolna jest uniwersalnym lekarstwem, które uleczy wszystkie bolączki wsi. Nie mniej jednak sądzimy, iż jest ona jednym z ważniejszych środków, które razem powiązane i sharmonizowane mogą przyczynić się do zmniejszenia olbrzymiego ciężaru przeludnienia wsi polskiej."

Słowa słuszne i rozumne. Nie dziwimy się, że takie, a nie inne musiała zająć stanowisko „Polska Zbrojna", widząc, jak w sposób bezceremonialny pewna grupa ludzi pragnie osłonić własne prywatne interesy płaszczykiem patriotyzmu i troski o dobro państwa.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Karol Piotrowicz: „Plany rewindykacji Śląska przez Polskę pod koniec średniowiecza". Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice, 1936, str. 59.

Broszura Piotrowicza należy do cyklu prac, poświęconych szerzeniu szczegółowych wiadomości o Śląsku. Przeznaczenie uwidacznia się w treści broszury; autor podaje szereg faktów mniej znanych, nie starając się specjalnie o skonstruowanie ściślejszej syntezy. Można wykazać pewne ogólne tendencje autora, jak np. chęć idealizowania niektórych ludzi omawianych czasów. Autor pisze (str. 8) o panach małopolskich, iż „po śmierci ostatniego z Andegawenów oni zapewnili tron polski jego córce Jadwidze w obawie, by po przyjściu do władzy któregoś z książąt piastowskich, horyzont myśli politycznej polskiej nie ścieśnił się do spraw podrzędnej wagi". Otóż, jeśli obawa przed ową przypuszczaną „ciasnotą horyzontu

myśli politycznej" ewentualnego nowego piasta odgrywała rolę w ustosunkowaniu się pozytywnym panów polskich do idei sukcesji węgierskiej, to nie mniejszą rolę odegrały przywileje i ulgi podatkowe, jakimi Ludwik szafował i które stały się podstawą przyszłych praw politycznych szlachty.

Ta chęć „wybielenia" odzwierciadla się również we wszystkich tych miejscach broszury, w których autor rozwija postawioną na pierwszej stronie tekstu tezę, że wyrobieni na dworze Kazimierza Wielkiego „panowie małopolscy prowadzić już umieli politykę polską do celu, który w spuściźnie zostawił Polsce ostatni piastowski dynasta — do odzyskania zagarniętych przez wrogów ziem. Wdrożeni w ścisłe i daleko sięgające plany króla, panowie polscy nie dali się porwać chwilowym, a przemijającym koniunkturom politycznym... licząc się z faktem, że surowe społeczeństwo polskie nie zdolne jeszcze było do prowadzenia akcji, zakrojonej na szeroką miarę...". Teza ta o „nie uleganiu przemijającym koniunkturom politycznym" na odzyskanie Śląska staje się ogólnym usprawiedliwieniem naszych przodków, którzy Śląsk na tyle lat zaprzepaścili. Ale istota, naga prawda tym się nie zaciemnia. Już na str. 10 autor przyznaje, że dopóki panowali w Polsce dynaści z rodu Piasta, ci „pamiętali, że Śląsk jest prastarą piastowską dzielnicą... nie pogodzili się z myślą utraty nadodrzańskiej dzielnicy". I dopiero Ludwik Węgierski — przy którego boku „stali wiernie" (str. 8) panowie małopolscy „w obawie, by po przyjściu do władzy któregoś z książąt piastowskich, horyzont myśli politycznej polskiej nie ścieśnił się do spraw podrzędnej wagi" — ów potężny władca, dbający przede wszystkim o dobro bliskich mu Węgier, nie przywiązywał większej wagi do zagadnienia Śląska i on też właściwie wystawił 23.V 1372 r. ostateczny akt wieczystego zrzeczenia się tej ziemi na rzecz królów czeskich"; układ koszycki z roku 1373 był poniekąd ratyfikacją ze strony społeczeństwa polskiego tej polityki króla. Pisze również Piotrowicz — omawiając czasy Warneńczyka przed bitwą pod Grotnikami — że „jeśli chodzi o sprawę Śląska, to ani król, ani otaczający go panowie zupełnie nie myśleli o opanowaniu tej krainy, chociaż rozporządzali siłami aż nadto wystarczającymi do zwalczenia ewentualnego oporu" (str. 22). Były więc rozmaite koniunktury na odzyskanie Śląska; były takie, które mogą się wydać „przemijającymi", ale były i takie, których nie wyzyskanie było tylko rezultatem ciasnoty czy braku myśli politycznej.

Świetnie oddaje Piotrowicz politykę Zbigniewa Oleśnickiego w sprawie rewindykacji ziem śląskich. Ale by tę politykę zrozumieć całkowicie, bo zrozumieć, dlaczego mimo tylu sprzyjających okoliczności Polska Śląska nie odzyskała, brak u Piotrowicza jednego: podkreślenia i omówienia faktu niewątpliwego, że w polityce zagranicznej biskupa krakowskiego rewindykacja Śląska była celem drugorzędnym. Tego nieuwypuklenia całkowitej drugorzędności kwestii śląskiej w polityce polskiej późnego średniowiecza nie znajdujemy natomiast w części broszury, poświęconej polityce Władysława Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka. Doskonale rozwija Piotrowicz ogólny wpływ wojny z Zakonem na politykę śląską Jagiełły i zdecydowanie kreśli ciężkie oskarżenia pod adresem Jagiellończyka: „Kazimierz Jagiellończyk nie oglądał się na interesy państwa polskiego, a raczej wpływ i potęgę Polski próbował wyzyskać dla swych dynastycznych celów... Tak właśnie dynastyczna polityka Jagiellończyka zadecydowała o losach Śląska" (str. 49). Najciekawsze jednak i najgłębiej ujęte są rozdziały, poświęcone rozwojowi stosunków kulturalnych polsko-śląskich. Nadzwyczaj trafnie ocenia Piotrowicz znaczenie nastrojów i procesów politycznych wewnętrznych śląskich dla losów Śląska jako utraconej ziemi polskiej. Te momenty pracy należą bodaj do najbardziej wartościowych.

Z. D.

* * *

Lednicki Wacław: Puszkin. Prace Polskiego Towarzystwa dla Badań Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu. Nr. XIV. Kraków 1937. Str. 63 + 3 nlb.

Niewielka ta broszura, wydana z okazji stuletniej rocznicy zgonu wielkiego poety rosyjskiego, składa się z trzech odrębnych studiów.

Pierwsze z nich p. t. „Puszkin" jest próbą syntetycznego ujęcia renesansowej postaci autora „Eugeniusza Oniegina" na tle dziejów literatury rosyjskiej. Usiłując uchwycić najbardziej istotne cechy Puszkina, jako twórcy, autor rozważa kolejno jego niezwykłą wszechstronność, jego zadziwiającą umiejętność unarodowiania wzorów i wątków obcych, właściwość budzenia swymi utworami „poczucia piękna i uczuć humanitarnych", symboliczny „w najwyższym tego słowa znaczeniu" charakter jego poezji oraz „idealną prostotę" jej formy.

Zdaniem autora Puszkin w przeciwieństwie do takich współczesnych mu tytanów słowa, jak Byron czy Mickiewicz, jest przede wszystkim reprezentantem t. zw. poezji czystej (poesie pure), „geniuszem dantejskim", aczkolwiek w swoich utworach historyczno - patriotycznych występuje w charakterze wieszcza - historiozofa narodowego.

W zakończeniu studium uwydatnia autor „zapładniającą" rolę poezji Puszkina w literaturze rosyjskiej, stwierdzając, że żyje ona „nie tylko w niezliczonych glossach i komentarzach puszkinologów", lecz również „w arcydziełach Tołstoja, Turgieniewa, Dostojewskiego, Mierieżkowskiego.

Studium następne pod poetycznym tytułem „Wyprowadzony w pole... śmierci" jest ciekawym przyczynkiem do biografii poety. Przedstawia w nim autor szczegółowo w świetle najnowszych badań tło oraz przebieg wypadków, które doprowadziły do tragicznej śmierci poety, a które dotąd nie są jeszcze w zupełności wyświetlone.

Przed oczyma naszymi przesuwają się wszystkie osoby tego ponurego dramatu, od wyczerpanego i doprowadzonego do ostateczności paszkwilami i prowokacjami poety zaczynając, a na jego najpodlejszym, bo pewnym bezkarności, rywalu — carze Mikołaju kończąc.

Mimo, że przebieg wydarzeń niedwuznacznie wskazuje na cara, jako głównego wynowajcę tragedii, autor w braku niezbitych dowodów woli powstrzymać się od postawienia kropki pozostawiając w tej sprawie sąd ostateczny czytelnikowi.

Zgoła odmienny charakter, aniżeli oba omówione, ma ostatni z pośród zawartych w książce studiów p. t. „Puszkin a my".

O ile studium drugie uznać należy za cenny nabytek puszkinistyki polskiej, zaś charakterystyce Puszkina, zawartej w studium pierwszym można zarzucić jedynie pewne braki natury formalnej (znakomity puszkinista nie umie pisać popularnie, usilując być lekkim i barwnym, wpada z miejsca w patos i frazeologię) i konstrukcyjnej (rozbiciu charakterystyki poety na drobne impresje, upstrzone w niezawsze szczęśliwie dobrane motta), — o tyle wywody autora na temat „obchodów" puszkinowskich w Polsce, stanowiące najbardziej istotną część studium trzeciego, budzą zastrzeżenia znacznie poważniejsze.

Gdyby autor, ustalając kryteria naszego stosunku do Puszkina, poprzestał na stwierdzeniu, że Puszkin, jako „jeden z pierwszych poetów epoki", jako „zjawisko całkiem wyjątkowe", jako „prawdziwy cud historyczny", dzięki któremu literatura rosyjska stała się odrazu wielką, w pełni zasługuje na to, aby zapoznała się z nim bliżej polska elita kulturalna — trudno byłoby takiemu postawieniu sprawy coś zarzucić!

Kiedy jednak, jako argumenty przemawiające za „obchodzeniem" rocznicy puszkinowskiej przytacza takie przypadkowo zebrane fakty, jak obiektywny nekrolog Puszkina, napisany przez Mickiewicza, obchód jubileuszu Puszkina w krakowskim Klubie Słowiańskim w r. 1899, oraz „przyjaźń Mickiewicza z Puszkinem, kiedy po znakomitych naprawdę wywodach na temat zasadniczo — wrogiego, nacjonalistycznie — rosyjskiego stosunku Puszkina do Polski i Polaków pisze: „Puszkin — Mickiewicz to wspólna a piękna karta literatury rosyjskiej i polskiej", „przez Mickiewicza Puszkin stał się trochę nasz*) — mimowoli zadajemy sobie pytanie, poco umajać takimi kwiatkami wyniki poważnych i obiektywnych studiów naukowych i jak długo jeszcze sławianoznawstwo nasze chorować będzie na słowianofilizm.

Niewątpliwie jesteśmy dość silni duchowo i kulturalnie, aby się nie obawiać potęgi obcych geniuszów i niewątpliwie stać nas na to, aby ocenić obiektywnie wielkość nawet takiej „cytadeli poetyckiej broniącej imperialistycznych granic kultury rosyjskiej", jaką był według autora (bo naszym zdaniem autor tę „cytadelę" grubo przesadził, wyprowadzając z niej między wielu innymi antypolskiego również, ale przecież inaczej zupełnie — po ukraińsku — antypolskiego Hohola) Puszkin — ale czy wynika z tego, że musimy koniecznie tworzyć na gwałt jakąś legendę polsko-rosyjską w nierealnych zamysłach podbijania „siłą duszy" Moskali?

K. S.

*) Podkreślenie autora.

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Niepodległość. Czasopismo poświęcone dziejom polskich walk wyzwoleńczych w dobie popowstaniowej. Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniu najnowszej historii Polski. Warszawa marzec-kwiecień 1937. Rok XV. Zeszyt 2.

Młodzież katolicka. Pismo akademickie. Marzec 1937. Rok VI. Nr. 3.

Janusz Ignaszewski. Polski rynek żelaza w roku 1936. Katowice 1937.

Aleksander Szczepański. Kierunki eksportu wytworów przemysłu górno-śląskiego. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice 1937.

Bronisław Giziński. Postępy przemysłu chemicznego na Śląsku za czasów polskich. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice 1937.

Stefan Kaufman i Roman Maryniarczyk. Roboty publiczne w Województwie Śląskim. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice 1937.

Józef Skoczek. Stosunki kulturalne Śląska ze Lwowem w wiekach średnich. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice 1937.

Krzysztof Winter z Żegania „Koźnic śląskich i kopalń opis i oznaczenie krótkie" oraz Melchior Severus „Wiersz pochwalny". Opracował **Wincenty Ogrodziński.** Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice 1937.

Kazimierz Tymieniecki. Kolonizacja a germanizacja Śląska w wiekach średnich. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice 1937.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem